



mat. przekazał
Wi. Koperkiewicz

26-300 Opoczno

DR
okr. Kódz
ob. Opoczno

LEWANDOWSKA-
CHAKUBIŃSKA
Franciszka

2924/1 WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — LEWANDOWSKA-CHAKUBIŃSKA
Franciszka

2324/WSK

I. Materiały dokumentacyjne

- I/1 – relacja właściwa ✓
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora
- I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

- III/1 – dot. rodziny relatora
- III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945)
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.
- III/5 – inne...

IV. Korespondencja ✓

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓

VI. Fotografie (patrz III)

I 11 Relacja Tabuwa

- F. Chatubinska "Wojenne wspomnienia Franciszki Chatubinskiej"
zbindowana kopia, k. 18 s. 1-34 (paginacja wewnętrzna)
- Aneks do "Wspomnienia Franciszki Chatubinskiej z czasu wojny"
zbindowana kopia, k. 21 s. 1-21 (paginacja wewnętrzna)



Wojenne
wspomnienia
Franciszki
Chałubińskiej

WSPOMNIENIA FRANCISZKI CHAŁUBIŃSKIEJ
(PORUCZNIKA „TERESY” BATALIONÓW CHŁOPSKICH)
Z LAT 1939 -1945

„MOJE WSPOMNIENIA Z CZASÓW OKUPACJI”

Nie wiem, czy po tylu latach potrafię odtworzyć swoje przeżycia z czasów wojny, losy nauczycielki powiatu opoczyńskiego. Najcięższym moim przeżyciom towarzyszyła wiara w zwycięstwo nad faszyzmem i w niepodległość Polski, wiara w to, że ta Polska będzie suwerenna i naprawdę ludowa, że zapanuje w niej sprawiedliwość społeczna.

O takiej Polsce mówiło się w tej „chacie za wsią” – szkole na wsi opoczyńskiej. Wiele musiałam cierpieć, że tak myślałam, że taki obraz nosiłam w sercu. Byłam tylko społecznikiem na małą może miarę, a nie politykiem. Jako dziecko wsi czułam się związana ze Stronnictwem Ludowym, a ponieważ w swej tajnej pracy oświatowej zetknęłam się z ówczesnym kierownikiem oświaty, Czesławem Wycechem, ludowcem, swoją orientację polityczną związałam z osobą obecnego marszałka sejmu i po wojnie w roku 1946 wstąpiłam do PSL.

W okresie wyborów w roku 1947 znalazłam się w szczególnej sytuacji: członek PSL, mąż w Armii Andersa nie wrócił jeszcze z Zachodu, brat w Ameryce, drugi aresztowany za działalność w PSL. Na domiar złego w czasie aresztowania brata zabrano przywieziony z moimi rzeczami zdemontowany aparat radiowy. W ślad za tym ukazało się w prasie oskarżenie, że brat mój jest na usługach wywiadu angielskiego, że znaleziono u niego stację nadawczą – odbiorczą, a za mną zamknęły się drzwi Urzędu Bezpieczeństwa w Kutnie, ponieważ brat zeznał, że aparat ten przywiózł jego syn z moimi rzeczami. Nie wiem, co by się stało ze mną, gdyby śledztwa nie przeprowadzał człowiek, który mnie znał z powiatu opoczyńskiego, który spowodował zbadanie aparatu i stwierdzenie, że ten sprzęt, porzucony przez Niemców, był bezużyteczny, zniszczony. Dzięki temu zostałam uwolniona, a wkrótce również mój brat.

Od tej pory jednak byłam ciągle na indeksie. Nie lepiej czuł się mój mąż, który w czerwcu 1948 roku wrócił z Zachodu i był uważany za obywatela drugiej czy trzeciej kategorii.

Gdybym wstąpiła do partii, może łatwiej byłoby mi odwrócić złą opinię, ale ja tego zrobić nie mogłam.

Ciężkie to były nieraz chwile, ten brak zaufania, na które chciałam zasłużyć.

Czułam swoją krzywdę moralną i za obecną sytuację, i za pracę w czasie wojny.

*

Wojna zastała mnie w jednej ze szkół opoczyńskich, w Libiszowie. Zdawałam sobie sprawę, że życie moje tam w czasie wojny będzie ciężkie. Przede wszystkim wpływało na to położenie szkoły. Nie była to typowa chata wiejska. Był to budynek drewniany, pokryty białą blachą, położony 400 m od wsi i w takiej samej odległości od cmentarza. Usytuowany był za wsią ze względu na to, żeby dzieci z innych wsi (Sobawiny, Międzybórz) miały bliżej do szkoły. Stał na wzgórzu podwyższony o wysoki fundament. Nie był wygodny, bo pierwotnie nie służył celom szkolnym. Była to dawna stara plebania uznana przez duchownych za nieodpowiednie mieszkanie dla jednej osoby, natomiast nadająca się na szkołę dla 240 dzieci i mieszkanie dla nauczycieli. Przeniesione na plac szkolny, źle zestawione drewniane ściany trzeszczały w czasie wichrów i burz. Te same wiatry hulały bezkarnie po całym budynku, strasząc jego mieszkańców.

W jednej z dwóch sal szkolnych (trzecia znajdowała się we wsi) umieszczony został aparat radiowy. Jedyne na wsi, informował mieszkańców w ostatnich dniach sierpnia i pierwszych dniach września o przygotowaniach do wojny i jej wybuchu 1 września 1939 roku. Mój mąż, który pełnił obowiązki kierownika szkoły, uzupełniał te informacje. Z wiarą zapewniał, że Polska jest silna i odeprze atak wroga.

Zmobilizowany w trzecim dniu wojny poszedł na dziewięcioletnią tułaczkę, nie wiedząc, że po klęsce wrześniowej przemierzy wiele krajów, przekroczy granice kontynentów, zatrzyma się dłużej czas na pustyniach Afryki i Iraku, że będzie uczestnikiem walk o Monte Cassino.

Zostałam sama w tej pustej chacie z małą córeczką i służącą, młodą dziewczyną. Dom był łatwo dostępny dla ludzi szukających dachu nad głową, rozmaitych przybłędów, jednym słowem różnych ludzi.

W dzień i do późna w nocy ja z kolei pełniłam służbę przy aparacie. Słyszałam, że Warszawa się broni, słuchałam wiadomości o ostatnich rozpaczliwych walkach żołnierzy na Westerplatte.

Gdyby nie poczucie obowiązku stania na posterunku, nic by mnie nie zatrzymało w tym domu tak oddalonym od ludzi, szczególnie nocą, bo dniem szkoła była pełna ludzi, którzy stali przy głośnikach i z zapartym tchem słuchali radia. Te ciągle zapowiadane alarmy: „Uwaga, uwaga, nadchodzi...” i te rozpaczliwe komunikaty z Westerplatte i te noce rozświetlone pożarami od wybuchających bomb to niezapomniane chwile. Nierealne się wydawało, że Niemcy posuwają się błyskawicznie naprzód, pomyłką to, że ludzie w popłochu zaczynają uciekać, że administracja i policja opuszcza stanowiska. Pamiętam jednego wieczoru, 5 czy 6 września ludzie z mojej wsi z goryczą powiedzieli: „Wszyscy nas opuszczają.” Wtedy im powiedziałam, że ja ich nie opuszczę, że ja z nimi pozostanę. Nie przypuszczałam, że za kilka dni zostanę osamotniona, że ci ludzie, z którymi tak się czułam związana, mnie opuszczą, że zostanę w tej szkole sama, darzona nieufnością, uznana odpowiedzialną za wszelkie zło.

Niedługo wszystko umilkło, wokół widoczne były łuny pożarów, słychać było coraz bliższe walki na ziemi i w powietrzu. Z jednej strony straszna pustka w domu, z drugiej strony wycie syren i niezapomniany warkot samolotów, który wkręcał się we mnie bólem nie do zniesienia. Ogarnął mnie strach i wtedy, w środę szóstego września 1939 roku, opuściłam swój dom, bo nie mogłam zostać w tym polu sama z dzieckiem, nie miałam, co robić. Radio zamilkło, zjawiali się różni ludzie, nie było bezpiecznie. Przez kilka dni tułałam się po wsi. Zmieszałam się z mieszkańcami wsi, by z nimi przeżyć tragedię narodową, by widzieć oszalałe tłumy uciekinierów zmęczonych, idących bez żadnego celu i w niewiadomym kierunku oraz utrudzonych żołnierzy upadających z pragnienia, głodu, często rannych. We wsi było pełno wojska, co chwila nalot i wreszcie ósmego września wszystko ucichło.

Niemcy. Nie, to nie do uwierzenia, my przecież tak wierzyliśmy w swoją potęgę, ja tak ludzi zapewniałam o zwycięstwie. Och, co za straszny kontrast! Ci nasi biedni żołnierze, zmęczeni, głodni i ta armia, która szła w szyku bojowym jak na bal. Wróciłam do szkoły złamana, chora., chociaż budynek ten mnie straszyl. Spędziłam, nie wiem ile nocy bezsennych w tym budynku, trzymając dziecko w jednym ręku, a torebkę z dokumentami w drugim.

Mieszkając za wsią, przy drodze z Opoczna, widziałam rozbitków naszej armii wracających z wojny i budziła się we mnie litość i równocześnie żal do nich, że tak łatwo opuścili szeregi Armii. Pamiętam, że gdyby wtedy wrócił mój mąż, nie mogłabym mu darować, że zrezygnował tak łatwo z walki, ale nie wrócił, byłam w dalszym ciągu sama. Ludzie z mojej wsi byli ogromnie przybici wypadkami, a najbardziej ich bolała świadomość, że administracja państwowa opuściła ich w tej beznadziejnej sytuacji. Po ochłonięciu z pierwszych wrażeń zaczęli szukać winnych tego, co się stało i naturalnie odpowiedzialny za wszystko uczynili Rząd, ale przeciętny opoczyński człowiek uważał, że Rząd to ci, którzy byli w Warszawie, tak samo starostwo, a na wsi nauczyciel. Wszyscy tamci byli daleko – pozostał nauczyciel – on ponosił całą odpowiedzialność – na niego złożyli całą nienawiść za to, co się stało bez względu nawet na to, jakie stosunki łączyły tego nauczyciela ze wsią. Mimo że nasze stosunki ze wsią były dobre, też nie uniknęłam tej straszliwej niechęci. Mimo to jeszcze raz powiedziałam, że ich nie opuszczę i odtąd jeszcze bardziej niż dotąd czułam się związana z moim posterunkiem, którego nie wolno mi było opuścić. Zostałam osamotniona, wśród ludzi nastawionych niechętnie, a nawet wrogo do mnie. Pamiętam to i dotąd jeszcze czuję, jak bolało. I dotąd jeszcze czuję wdzięczność do jednego z gospodarzy, Franciszka Stolarczyka, który zaoferował mi jakąś pomoc. A pomoc materialna była mi potrzebna. Miałam trochę żyta, ale nie miał mi kto go wymłócić ani zawieźć do młyna, a

chleba nigdzie dostać nie było można. Zapasów nie miałam, bo przecież i ja zapewniałam, że nie należy ich robić, bo nie zajdzie potrzeba.

Nie mogłam pojąć, co się stało. Wiele nocy spędziłam bezsennie przygotowana na jakies wypadki. Czasem łudziłam się, że to koszmarny sen i wszystko się zmieni. Niestety, miałam coraz więcej dowodów na to, że sytuacja jest beznadziejna. Położenie mojego domu sprzyjało temu, że stawali w moich drzwiach ludzie odarci z wiary, ludzie, którzy wyrwali się z piekła i opowiadali straszne rzeczy. Mimo takich dowodów miałam do nich żal, że zrezygnowali z walki.

Niestety, nie nastąpiła żadna zmiana, zaczęły się ciemne dni okupacji i systematycznie prowadzona niemiecka polityka wyniszczania narodu polskiego pod względem materialnym i moralnym. Wróg kolejno zajął się organizowaniem szkolnictwa. Bolesne to było dla nas, kiedy dwudziestego piątego września wezwani zostaliśmy przez władze niemieckie na pierwszą powiatową konferencję. Otrzymaliśmy polecenie otwarcia szkół bez prawa nauczania historii i geografii. Kazano nam również złożyć książki z biblioteki szkolnej w gminie. Naturalnie oddane zostały tylko książki bezwartościowe i zniszczone. To, co cenniejsze, służyło nadal młodzieży.

Trzeba było rozpocząć pracę w tak strasznie zmienionych warunkach. Niełatwa to była sprawa. Nie było podręczników, a nauka języka polskiego była oparta na pisemku dla młodzieży bez żadnej wartości. Pracę w trzyklasowej szkole rozpoczęłam sama. Musiałam walczyć o frekwencję, gdyż jak zaznaczyłam wyżej, ludność miejscowa niechętnie odnosiła się do nauczyciela i szkoły. Nieprzysyłanie dziecka do szkoły uważali za najodpowiedniejszą formę do wyrażania tej niechęci. Drugą trudnością był brak opału. O wszystko musiała walczyć nauczycielka, nawet trzeba było zamiatać szkołę, bo ktośby przyszedł wykonywać pracę woźnego do odległej szkoły za parę złotych, według przedwojennej stawki. Nauczycielka spełniała tę posługę przy pomocy dzieci, byle tylko utrzymać placówkę.

Pierwsza zima była szczególnie ciężka. Mróz i śnieg odcięły szkołę od wsi. Żeby się dostać do niej, trzeba było iść przez pola, bo droga położona niżej była zasypana na metr. Na szczęście powróciła do pracy koleżanka Janina Granat. Odtąd razem już pracowałyśmy aż do końca okupacji, razem też zamieszkałyśmy w budynku szkolnym i łatwiej było nam wspólnie pędzić ten ciężki żywot.

Zapewniałam mieszkańców wsi, że ich nie opuszczę i trzymałam się tego, konsekwentnie odrzucając propozycję połączenia się na Węgrzech z Mężem, a jednak ludzie nas opuścili. Walka o frekwencję była trudna, bo w interesie wroga nie było podniesienie poziomu szkoły, zresztą nikt z nas nie oddałby opornych rodziców pod sąd okupanta. Płace nauczycieli były żadne, warunki materialne były bardzo ciężkie i często zaglądał do nich niedostatek i głód. Trzeba było się troszczyć o opał dla szkoły i często nauczyciel kupował go za własne pieniądze. Palił w piecach, zamiatał klasy, uczył i przygotowywał uczniów do chwili, kiedy będzie wolna Polska, w co zawsze wierzył i wiarę tę wlewał w serca młodzieży i ich rodziców.

Sytuacja polityczna była beznadziejna. Przerwano wszelkie działania wojenne. Straszna, beznadziejna cisza. Całą nadzieję wiązało się z garstką partyzantów Hubala, resztką armii wrześniowej, przebywających w pobliskich lasach spalskich, którzy jak legendarne postacie zjawiali się czasem nocą we wsi. Zdawali się ludźmi mocarnymi niczym śpiący rycerze w Tatrach, którzy pobudzą ludzi do czynu i wrócą wolność. Niestety, Niemcy, w maju 1940 roku, wykryli ich i strasznie zemścili się na mieszkańcach jednej wsi, która pomagała partyzantom. Mężczyzn wywieźli, a wieś spalili razem z kobietami i dziećmi. Hubala zabito. Był to ostatni epizod kampanii wrześniowej. Jedyne iskierka nadziei została stłumiona.

Do tego dotknęły mnie własne niepowodzenia. Moją liczną rodzinę składającą się z siedmiu rodzin (bracia: Jan, Stefan, Franciszek, Wojciech z żonami i siostry: Ziuta, Marysia, Hania z mężami i dziećmi) zamieszkałych w powiecie gostyńskim i kutnowskim, Niemcy wysiedlili z ich zamożnych gospodarstw i wywieźli na tułaczkę po całej Generalnej Guberni. Jednego brata Franka wraz z moją matką wywieźli do Niemiec, jeden z braci (Wojciech) umarł na wysiedleniu. Nie mogłam więc liczyć na pomoc rodziny, a odwrotnie, to ja musiałam im pomóc. W 1940 roku zabrałam szesnastoletnią siostrzenicę Zosię, aby ustrzec ją przed wywiezieniem do Niemiec. Ta dzielna dziewczyna nie była nam ciężarem, a odwrotnie stała się podporą, ona

bowiem stworzyła mi warunki do później podjętego zadania pracy w Tajnej Komisji Oświatowej (TON) i na innych odcinkach życia konspiracyjnego. Koleżanka Janina Granat była moim duchowym przewodnikiem, filarem szkoły, chociaż to ja byłam jej kierownikiem. Ona również pomagała mi w wychowaniu mojego dziecka, kształciła jego umysł, troszczyła się o zdrowie, uzupełniała wykształcenie mojej siostrzenicy. Ona w większym stopniu niż ja prowadziła tajne nauczanie w naszym najbliższym środowisku. Ona w ciemne wieczory, bez światła, bo nie było nafty, opowiadała filmy barwnie i tak dokładnie, że zdawało się nam, iż patrzymy na ekran, którego nie oglądaliśmy przez całą wojnę.

Rósł terror faszystowski, a w miarę jak wzrastał terror, rosła solidarność, wzrastało zaufanie do nauczyciela. Jeszcze raz w ciągu tego roku miałam możliwość wyjazdu z Libiszowa. Mąż mój był internowany na Węgrzech, przebywał niedaleko granicy i stosunkowo łatwo mogłam się tam dostać, ale nie miałam siły opuścić swojej placówki. Czułam, że jestem tu potrzebna, bo ludzie często, coraz częściej, zwracali się po radę i pomoc do nauczyciela.

Nauczyciel opoczyński odegrał wielką rolę w spisach zasiewów dokonywanych raz do roku i spisach inwentarza, które odbywały się dwa razy do roku. Robił to najczęściej bezinteresownie, chroniąc rolników od nadmiernych kontyngentów. Jeśli spisywał nie nauczyciel, ludzie musieli płacić haracz w naturaliach, a i tak nie mieli równie dobrze obliczone, jakby to zrobił nauczyciel. Przeciętny chłop opoczyński nie zawsze zdawał sobie sprawę z tego, jaki areal ziemi przeznaczył na poszczególną uprawę i nawet często nie wiedział, ile tej ziemi posiada, nie znał się na hektarach i arach. Z zaufaniem odnosił się do nauczyciela, by zrobił mu te obliczenia. Obsiewało się więc, naturalnie na papierze, areal ziemi, poświęcając znaczną część na paszę zieloną, na łubin i w ten sposób zmniejszało się ilość ziemi podległej kontyngentowi. Trzeba było własnoręcznym podpisem stwierdzić – wbrew prawdzie -fakt nieposiadania przez rolnika inwentarza. Krowy według takiego spisu dawały nie więcej jak 150 litrów mleka rocznie, a świń prawie z zasady nie było, a jeżeli były, to rosły z tym samym kolczykiem kilka lat. Wszystko to miało na celu ochronę rolnika przed odebraniem mu reszty środków do życia, zawsze uboższego, a w czasie okupacji doszczętnie materialnie wyniszczonego. Wtedy ludzi docenili nauczyciela, tym bardziej, że wszystko czynił bezinteresownie, przyjmując czasem za własną pracę, dobrowolny ekwiwalent: jedno jajko, trochę kaszy czy fasoli.

Na pomoc materialną ze strony wsi nauczyciel nie mógł wiele liczyć, bo chłop opoczyński zawsze biedował, a w czasie wojny jeszcze bardziej. Miesięczne pobory nauczyciela doszły do wartości pół kilograma masła, przydziały dla nauczyciela na wsi były znikome. Koleżanki robiły więc swetry, gotowały mydło i za to otrzymywały mąkę, kaszę, fasolę, rzadko tłuszcz. Mimo że nauczyciel biedował, nie zdarzało się, aby poszedł na łatwy zarobek albo hańbiący. Nie zdarzało się prawie, żeby ktoś handlował alkoholem. Lekcje prywatne w opoczyńskim powiecie również nie opłacały się i praca w kompletach była w dużej części pracą społeczną, a jednak w tajnym nauczaniu brało udział wielu nauczycieli.

W szkole jawnej, mimo zakazu uczenia historii i geografii, nauczyciel starał się na języku polskim podawać wiadomości z zakresu wyrugowanych przedmiotów, czasem też przerabiał kurs szkoły średniej. W najrozsądniejszy sposób chronił biblioteczkę szkolną od zniszczenia, otaczał szczególną opieką godło i napis polski „Szkoła” na budynku szkolnym. Na wsi opoczyńskiej mało który nauczyciel otrzymywał równoważną zapłatę za dodatkowe tajne nauczanie. Czasem zapłata ta była tylko symboliczna w postaci artykułów żywnościowych, najczęściej była to praca całkowicie bezinteresowna.

Ważnym problemem dla wsi i nauczyciela byli wysiedleni. Zaraz w pierwszym roku przybyli wysiedleni z Poznańskiego, później z Kujaw, Łodzi i Mazowsza. Chłopom nie mieściło się w głowie, że ci ludzie bez winy zostali wyrzuceni z domów i swoich majątków. Początkowo warunki tych wysiedlonych były ciężkie, później uległy zmianie na lepsze, szczególnie w mieście.

Wielkim rozczarowaniem była dla nas wiosną 1940 roku klęska Francji, z którą jak i z Anglią Polacy wiąźali tak wielkie nadzieje. Do Francji przybywali Polacy z Rumunii i Węgier. Tam też z Węgier podążył mój mąż. Kapitulacja Francji zastała go w drodze i zmusiła, tak jak

innych, do skierowania się na Bliski Wschód. Od czasu do czasu otrzymywałam dowody jego istnienia różnymi drogami.

Drugi rok szkolny rozpoczął się o tyle w lepszej atmosferze, że było większe zrozumienie potrzeby nauki. Jednak dzieci i w tym roku często nie przychodziły do szkoły, bo musiały ukrywać inwentarz przed Niemcami. W marcu 1941 roku nauka została przerwana na trzy miesiące, gdyż szkołę zajęli na kwatery Niemcy jadący na Wschód (przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej). Ja z koleżanką, córką i siostrzenicą wysiedloną z Mazowsza zajmowałyśmy jeden pokój; klasy oraz drugi pokój, a nawet kuchnię zajmowali Niemcy. Żołnierze Wehrmachtu byli inni od gestapowców czy esesmanów. W czasie tych trzech miesięcy nie zrobili nam żadnej krzywdy, ale ani na chwilę nie zapomnieliśmy, że mamy do czynienia z wrogiem. Pamiętam, że moja sześcioletnia córka, chociaż była spragniona słodyczy, nie wzięła od Niemca cukierków, ciastek czy też pomarańczy i leżały one nietknięte w miejscu, gdzie Niemiec je położył. Nie skorzystałyśmy z propozycji wysłuchania urządnego w klasie koncertu. Zmusiłyśmy ich do poszanowania zostawionego nam jedynego pokoju, nawet jeden z podoficerów, wchodząc do nas zdjął buty. Pamiętam, że często prowadziłyśmy z Niemcami może zbyt śmiało dyskusje na temat ich wiary w zwycięstwo Hitlera i równocześnie starałyśmy się o to, by wzbudzić szacunek do Polaków. Pamiętam wielkie rozczarowanie żołnierzy, kiedy 5 maja 1941 roku Hitler przez radio powiedział: „Bóg mi świadkiem, że nie jestem winien, że wojna się przedłuża.” Żołnierze nie zdawali sobie sprawy, że pójdą na wojnę z ZSRR.

W czasie kwaterowania Niemców z Wehrmachtu w naszej szkole przeżyłyśmy raz wielki strach. Nasze radio głośnikowe oddałyśmy w roku 1940 dla partyzantów do lasu, ale przy likwidacji aparatów na rozkaz Niemców przez gminę otrzymałyśmy dwa inne aparaty, które ukryłyśmy w drwalce pod drzewem. Niemcy upatrzyli sobie tę drwalkę na komorę gazową do ćwiczeń i przyszli nas zapytać, gdzie złożyć drzewo. Truchlałyśmy ze strachu, widziałyśmy się już w strasznych opresjach, no ale na szczęście Niemcy nie zauważyli zagłębienia, wyrównali ziemię i szczęśliwie uniknęłyśmy strasznych w takich wypadkach opresji.

Wojna niemiecko-rosyjska, te wieści o zwycięstwach hitlerowców na wszystkich frontach, wzrastający terror, ciągłe aresztowania wokół budziły uczucia beznadziejności. Wreszcie nastąpiła odwilż, zaczęła się załamywać niemiecka potęga na Wschodzie. Sama widziałam w Koluszkach wracające transporty wojsk niemieckich, przemrożonych, brudnych żołnierzy. Zaczynała się budzić nadzieja, lasy spalskie i kieleckie zaroily się od partyzantów. Z nadzieją wzrastała chęć czynu. Na wiosnę 1942 roku, dnia 1 maja, w moim domu, została zorganizowana Powiatowa Tajna Komisja Oświatowa (TON). W skład tej Komisji weszli: przewodniczący Stefan Szymański ze Studzianny (były nauczyciel z Częstochowy), kolega Jan Nowak, kierownik szkoły w Modrzewiu, kolega Jan Szczepański z Kruszewca, Wincenty Ulanek, kierownik ze Sławna i ja. Mnie przypadła w udziale funkcja opieki nad rodzinami nauczycieli dotkniętymi skutkami wojny czy terroru hitlerowskiego.

Od jesieni 1942 roku zaczęło się dla mnie życie bardzo pracowite. Do moich obowiązków w ramach Komisji należało odwiedzanie rodzin podopiecznych, udzielanie im pomocy materialnej, przeważnie w postaci zasiłków pieniężnych w miarę napływania ich bezpośrednio z Warszawy (najczęściej za pośrednictwem Stefana Szymańskiego pracującego wówczas koło Rawy Mazowieckiej), załatwianie wszelkich spraw Komisji na odwiedzanym terenie), a często również świadczenie pomocy moralnej.

Niestety, po roku działania, Komisja utraciła jednego z członków, kolegę Nowaka. W dniu 3 czerwca aresztowano w powiecie 75 nauczycieli. Aresztowanie to poprzedził objazd terenu przez ówczesnego podinspektora połączonych powiatów, opoczyńskiego i rawskiego z siedzibą w Tomaszowie Mazowieckim, znanego szubrawca, którego dosięgnęła zasłużona kara śmierci w czerwcu 1944 roku po odbytej wizytacji w Rożenku.

Dnia 6 sierpnia tegoż roku, w czasie masowych aresztowań w Studziannie, został również aresztowany Stefan Szymański, który tego dnia powrócił z Warszawy z instrukcjami i nocował w domu. Kolega Stefan z obawy przed zabraniem mu tajnych papierów bronił się. Otrzymałszy całą serię w brzuch powiedział: „Teraz możecie mnie zabrać”. W drodze do Tomaszowa zmarł.

W osobie kolegi Stefana straciliśmy duszę Komisji, baliśmy się również o to, że działalność Komisji jest pod obserwacją i przez dłuższy czas nikt z nas nie spał w domu.

Kolejnym przewodniczącym został Władysław Baran, były podinspektor z Lidy mieszkający w czasie wojny w swojej rodzinnej wsi Ogonowice.

Działalność Komisji (TON-u) szła w następujących kierunkach:

I. Prowadzenie tajnego nauczania,

- z zakresu pełnej szkoły podstawowej

- z zakresu szkoły średniej.

II. Przygotowanie szkoły do pracy w wolnej Polsce.

III. Troska o ideową i moralną postawę nauczyciela.

IV. Opieka nad rodzinami nauczycielskimi poszkodowanymi przez wojnę i terror.

Nie posiadam dokumentów tajnego nauczania. Do większych ośrodków należały Białaczów i Bukowiec. Największym ośrodkiem tajnego nauczania były Lipiny.

Zapamiętałam szczególnie jedną taką wędrówkę po powiecie. Było to 1 i 2 listopada 1943 roku. W dniu 26 października tegoż roku uległy pacyfikacji trzy zachodnie gminy powiatu opoczyńskiego. Była to straszna pacyfikacja. Nie mam ścisłych danych, ile tam wtedy osób zginęło, ile zostało zaarrestowanych, ale był to naprawdę sądny dzień, brano z list i przypadku. Ludzie bronili się w heroiczny sposób. Nie wydali głosu zakopani w słomę, chociaż byli kluczi bagnietami. Jeden mężczyzna, za którym gestapowcy wpadli do domu, uratował się w kominie, chociaż i tam zagładano, ale nie zobaczyli go, bo dym zasłaniał, a on wędził się żywcem. Inny kolega, Edward Milas, leżał przez sześć godzin w rzece Czarnej. Wielu ludzi uciekło na tak zwaną Diablą Górę. Myśleli, że tam ocaleją, ale i tam Niemcy trafili. Otoczyli górę i część wybili, mała grupa uratowała się ucieczką, a część zabrano. Został wtedy aresztowany nasz kolega senior Franciszek Wojciechowski z Aleksandrowa. Miałam wtedy za zadanie dotrzeć do wielu punktów na spacyfikowanym terenie. W tamtą stronę udało mi się skorzystać z furmanki. Nocowałam w Mniszku, a stamtąd w niedzielę (czy święto) udałam się do Błogiego, a na noc dotarłam przez Dąbrowę do Aleksandrowa, do żony aresztowanego kolegi Wojciechowskiego. Drogi od wsi do wsi były zupełnie puste, ludzie po „krwawej niedzieli” byli tak przestraszeni, że nie wychylali się prawie z domów. Pani Wojciechowska przyjęła mnie bardzo gościnnie, ale sama była zupełnie załamana, podobno ciężko odchorowała swoją tragedię i już nie odzyskała zdrowia psychicznego. W drodze powrotnej zahaczyłam jeszcze o kilka miejscowości, między innymi w Wielkowioli ukrywał się kolega Sapieja z Drzewicy, który dopiero po rozpoznaniu, że to jest swój człowiek, wyszedł z ukrycia. Wróciłam do domu zgnębiona i jak gdyby zza świata.

Tę trzydniową podróż odchorowałam, bo wymagała ona wiele wysiłku fizycznego, a ja sama nie byłam silna, a przy tym droga ta wyczerpała mnie nerwowo.

Opiekę nad wysiedlonymi i nad biednymi w Generalnej Guberni sprawowała legalna organizacja RGO (Rada Główna Opiekuńcza). Komitety RGO znajdowały się również w gminach. Na terenie mojej gminy ja również należałam do gminnego komitetu i w związku z tym miałam trochę obowiązków przy rozdziale pomocy dla podopiecznych i badaniu ich warunków życia.

Trzeba dodać i to, że zaopatrywanie mojego domu w żywność należało również do mnie, bo koleżanka, fizycznie słabsza jeszcze ode mnie, nie mogła tego robić, a dwudziestoletnia siostrzenica, nie mając Ausweisu (karty pracy), nie mogła wychylać się poza obręb wsi. Za to w domu byłam zwolniona od wszelkich prac. Całe gospodarstwo prowadziła siostrzenica. Koleżanka zastępowała mnie w pracy szkolnej. Jak zaszła taka potrzeba, obie opiekowały się moją córką lepiej, niż ja bym to robiła. Koleżanka poza pracą szkolną prowadziła tajne komplety, w których ja również brałam udział, ale moja praca nie mogła być systematyczna.

Wzmagający się terror – w miarę ponoszonych przez Niemców porażek – powiększał liczbę ludzi bezdomnych. Musieli się tułać, gdyż nie mogli u nikogo zamieszkać na stałe bez narażenia na niebezpieczeństwo. Mój dom stał się również przytułkiem dla ludzi „spalonych”. Zetknęłam się wtedy z patriotyzmem ludzi o odmiennych nawet przekonaniach. Wszystkich nas łączyło jedno, walka z wrogiem. Zdawało się wtedy, że nas, Polaków tak mało różni. Nie wiem

nawet kiedy, mój dom stał się – do pewnego stopnia – ośrodkiem życia politycznego w powiecie. Ośrodkiem tego życia był ludowiec, Władysław Głębiński, chłop małorolny ze Studzianny, człowiek o dużym wyrobieniu społecznym. Głębiński, zanim został „spalony”, pracował w powiatowej Spółdzielni Handlowej w Opocznie. Na tej placówce pracował wydatnie na szkodę Niemców, pomagając wielu Polakom.

Wielką pomocą służył w pracach Komisji Oświatowej Komisji Oświatowej kolega Władysław Wojtaszek z Kozenina i kolega Edward Milas, który pracował na krańcu powiatu, w Dąbrowie nad Czarną oraz Wincenty Klimek z Radzic. Pomagali oni w załatwianiu różnych spraw oświatowych na zachodnim krańcu powiatu. Współpracowali też z Komisją: Andrzej Chmał z Sobawin, chłop z mojego rejonu szkolnego, Stefan Kołodziejczyk oraz Sobczyk ze Studzianny. Ten ostatni oddawał się sprawie z całym poświęceniem i odznaczał się nadzwyczajnym rozumem i rozważą. Za pośrednictwem tych osób docierały do ludzi nasze komunikaty, niektóre były nawet drukowane.

Postrachem dla nas, nauczycieli, był podinspektor Schulratu tomaszowskiego, Jakub Melnyk, przedwojenny nauczyciel z naszego powiatu. Był on Ukraińcem wrogo nastawionym do Polski. Inni koledzy narodowości ukraińskiej wyjechali w roku 1940, on natomiast pozostał, angażując się na nasze nieszczęście na stanowisko podinspektora w Tomaszowie. Baliśmy się go strasznie, bo znał wszystkie kąty i ciągle „węszył”. On to nazaczył drogę gestapowcom w pamiętnym dniu aresztowania, trzeciego czerwca 1943 roku, odwiedzając prawie wszystkich aresztowanych trzy dni wcześniej. Był wtedy i u mnie, ale nie wiem, czemu przypisać swoje ocalenie, czy tylko dlatego, że byłam kobietą, bo wśród aresztowanych była tylko jedna koleżanka ze Studzianny, czy też dlatego, że miałam szczęście kiedyś zamieniać z nim placówkę Zychorzyn na Żelazowice, czy też dlatego, że powstrzymałam się od okazania pogardy, jaką czułam do tego nędznika. Odetchnęliśmy, kiedy na jakiś czas wyjechał na to samo, zdaje się, stanowisko w powiecie złoczowskim, ale pognany przez następujące wojska Armii Czerwonej wrócił już z bardzo rzadką miną. W roku 1944 w drodze po wizytacji dosięgnęła go jakaś sprawiedliwa ręka za Wielkopolą i położyła kres jego marnemu życiu.

Nie mogę w swoich wspomnieniach opuścić smutnego faktu, płamy na honorze nauczyciela opoczyńskiego. Już w roku 1940 jeden z naszych kolegów został w naszej obecności aresztowany w czasie jakiegoś przeglądu lekarskiego, któremu byliśmy poddani, nie wiem już, z jakiej okazji. Co ten kolega przeżył w rękach oprawców hitlerowskich, tego nikt z nas się nie dowiedział. Uważaliśmy go już za straconego, gdy niespodziewanie wrócił i pracował do roku 1943. Należał do tajnego Stronnictwa Ludowego. Jesienią roku 1943 stwierdzono, że był szpiegiem działającym od chwili zwolnienia go z więzienia, czyli od przeszło trzech lat. Uratował się ucieczką od wykonania wyroku śmierci. Do swej działalności się podobno przyznał, ale nie przyznał się do tego, że komuś z nauczycieli szkodził i nikt mu tego dowiódł. Nie wymieniam nazwiska, bo chcę wierzyć, że była to tylko straszna pomyłka. Przeżyłam ten wypadek bardzo mocno, gdyż sąd nad tym kolegą odbywał się w moim domu.

W roku 1944 praca w Komisji stawała się bardzo ciężka. Kolega Szczepański zachorował na zapalenie płuc, kolega Baran coraz bardziej zapadał na płuca, ja czułam się również wyczerpana. Podział pracy na rejon gminne i wybór komisji gminnych usprawnił pracę, ale i tak trzeba często było dotrzeć do najdalszych krańców powiatu. Wśród przewodniczących komisji gminnych wyróżniał się kolega Marian Frankiewicz.

Na północnym wschodzie powiatu prowadzona była piękna placówka oświatowa: Tajna Szkoła Podstawowa i Gimnazjum Ogólnokształcące w Lipinach. Dotąd jest dla mnie tajemnicą, w jaki sposób dokonywała cudów dyrektorka tej szkoły, koleżanka Helena Spoczyńska, była nauczycielką szkoły średniej w Chorzowie, aby stworzyć tę placówkę w małej położonej wśród lasów wioszczynie opoczyńskiej, liczącej zaledwie kilka domów. W tym samym budynku mieściła się szkoła podstawowa prowadzona przez siostrę Heleny Spoczyńskiej. Nie wiem, skąd czerpała fundusze na prowadzenie tej placówki. To pewne, że poborów, ani ona, ani jej siostra, która prowadziła szkołę podstawową, ani ofiarny personel nie otrzymywali, bo ewentualne wpłaty od uczniów szły na ich dożywianie, a środki pieniężne otrzymywane za moim pośrednictwem z

funduszu Powiatowej Komisji były naprawdę znikome. Szkoły te znajdowały się w rodzinnym domu dyrektorki, były też komplety w Brudzewicach, Studziannie i Odrzywole, które tworzyły całość organizacyjną. W szkole tej uczniowie zdawali maturę przed Komisją Egzaminacyjną. Tam też składała egzaminy młodzież ze wschodniej części powiatu, z innych ogniw tajnego nauczania.

Skąd koleżanka Helena czerpała fundusze na prowadzenie szkoły, jest dla mnie dotąd tajemnicą. Fundusze, które otrzymywała za moim pośrednictwem, były bardzo szczupłe. Prawda, że pracowali tam ludzie ofiarni, bezinteresowni, ale wiadomym mi jest, że biednej młodzieży zakupowała dyrektorka buty i dożywiała ją. Pewnie musiała być pomoc ze strony społeczeństwa, ale trzeba znać warunki materialne powiatu opoczyńskiego, szczególnie trudne czasie wojny, aby ocenić ogrom pracy tej cichej bohaterki.

Praca koleżanki Spoczyńskiej i jej zespołu miała dużą wartość wychowawczą. W młodzieży widziało się nie tylko ówczesnych bojowników o wolność, ale także przyszłych bojowników Polski Ludowej. Bardzo często uczniami byli partyzanci.

Chociaż moja droga do tego sanktuarium wiedzy była daleka (około 30 km) i odbywana pieszo, szłam tam chętnie, przez lasy. Zabierałam w drogę trzy pary butów: jedną po mężu na niskim obcasie, ranne pantofle własnej produkcji i drewniaki „do gali”, które zakładałam wtedy, kiedy miałam wystąpić jako reprezentant Komisji Powiatowej. Często po drodze miewałam różne przygody, ale zawsze udawało mi się wrócić do swojej chaty. W czasie powstania warszawskiego szkoła w Lipinach cieszyła się dużym powodzeniem. Przybyło wielu nauczycieli z Warszawy.

Jednym z ważnych zadań Komisji było podtrzymywanie na duchu nauczycieli, którzy w trudnych warunkach materialnych narażeni byli na ciągłe niebezpieczeństwo, a mimo to godnie wypełniali swoje obowiązki. Nie było prawie wypadku, żeby nauczyciel dał swym zachowaniem zły przykład. W dzień pracował w szkole, w nocy należał do podziemnej armii walczącej z wrogiem.

Większe ośrodki tajnej pracy znajdowały się w Białaczowie, Opocznie i Bukowcu. Po powstaniu wielu wysiedlonych ze stolicy nauczycieli zgłosiło się do pracy w szkolnictwie tajnym. Część z tych nauczycieli była objęta opieką Komisji.

Stosunki koleżeńskie w tych czasach wśród nauczycielstwa były miłe i serdeczne. Nigdy w życiu nie byłam w tak serdecznych stosunkach z koleżankami jak wtedy. Przede wszystkim między mną a koleżanką Janiną Granat, z którą pracowałam i mieszkałam razem przeszło pięć lat, wywiązała się głęboka przyjaźń, której nie przeszkadzała różnica poglądów na różne sprawy. Jeżeli jedna drugiej zrobiła mimowolnie jakąś przykrość, to tym się martwiła i starała się naprawić krzywdę. Janina była człowiekiem o niezwyklej osobowości i kulturze. Słabsza ode mnie fizycznie, zastępowała mnie w domu i to pozwoliło mi oddawać się pracy społecznej. Drugą osobą mi bliską była siostrzenica Zofia Kosowska, młode wtedy pisklę wyrzucone z rodzinnego gniazda. Tęskniła za nim bardzo, marzyła, aby wrócić do rodzinnej wioski w powiecie kutnowskim, zmienić jej oblicze (była absolwentką szkoły rolniczej), zorganizować życie spółdzielcze na wsi. Do tej roli bezustannie się przygotowywała, kończąc w Libiszowie korespondencyjne kursy spółdzielcze. Przede wszystkim jednak prowadziła nasze wspólne gospodarstwo, pracowała z wielkim samozaparciem na przyszkolnej działce, żeby wyhodować ziemniaki i warzywa, robiła swetry, uzupełniając nasze wielkie braki w ubraniu. Obie moje serdeczne przyjaciółki miały tak dobry stosunek do mojej córki, że byłam spokojna o nią momencie, kiedy miałam opuścić dom. Moja rola wychowawcza polegała tylko na tym, żeby skorygować stosunek córki do opiekunek, z czym nie miałam większego kłopotu. Moje współlokatorki tak starały się odsunąć ode mnie wszelkie drobne troski domowe, tak mi pomóc w wykonaniu mojego zadania, że ze wzruszeniem do dziś to wspominam. Zawsze kiedy wracałam, wychodził po mnie mądry pies Miś, a następnie zostawiał mnie, by zawiadomić o moim powrocie w domu i znowu powracał do mnie, by mi towarzyszyć w ostatnim etapie drogi. Zastawałam dom przygotowany na moje przybycie, najczęściej czekały na mnie zalewajka i kasza jaglana. Biedne psisko zginęło od kuli hitlerowskiej u stóp koleżanki, która go chciała obronić.

Tytułowaliśmy się w domu żartobliwie, zgodnie z charakterem prowadzonej pracy: mnie nazywano ministrem spraw zagranicznych, gdyż w zakres moich obowiązków wchodziła aprowizacja domu i sprawy niezwiązane z domem. Koleżankę nazywaliśmy ministrem oświaty i kultury, bo naprawdę ona bardzo się starała o to, aby mimo skromnych, wręcz niedostatecznych warunków materialnych, dom był na pewnym poziomie kulturalnym. Ona była pionem w naszej szkole, chociaż ja byłam kierowniczką i pracowała z całym oddaniem, douczała młodzież, ona dała podstawy do dalszej nauki mojej córce. Siostrzenica jako „minister spraw wewnętrznych” miała w swoich rękach sprawy gospodarcze, dolewała wody do zupy, kiedy zjawiali się goście, była niezmordowana, jeśli chodzi o wydawanie posiłków ludziom, którzy ich potrzebowali. Potrafiła ugotować coś z niczego. Była przy tym pogodna, umiała wszystkich rozweselić, chociaż sama głęboko przeżywała tragedię narodową i targała nią rozpacz o los najbliższych. Moje kochane współlokatorki stwarzały w domu taką atmosferę, że każdy czuł się tu bezpiecznie. Ludzie ze wsi z jakąś dziwną wiarą uciekali do nas w czasie łapanek młodzieży czy też z inwentarzem, chowali u nas zboże i wszystko, co mieli cenne. Jakoś się nigdy nie zawiedli. Nawet moja córka tak wyczuwała sytuację, że nigdy nie zdradziła tajemnic domu.

Ze wzruszeniem wspominam moje koleżanki z sąsiednich szkół. Moją serdeczną przyjaciółką była koleżanka Marta Wójcik, nauczycielka z Trzebiny. Jej niepokonana nienawiść do Niemców budziła w nas lęk o Jej bezpieczeństwo. Swą nienawiść wyrażała głośno, za co Ją gromiliśmy. Umiała się też cenić w stosunkach z dworem, imponowała francuskimi kreacjami (przed wojną pracowała sześć lat we Francji, była nauczycielką języka polskiego uczącą dzieci Polonii), którymi uzupełniała naszą garderobę. Krytykowała błędy dworu i potrafiła zmusić miejscowych ziemian do szanowania nas. Dzięki temu zmienił się stosunek dworu do nas i to raczej oni zabiegali o stosunki towarzyskie z nami, chętnie nas odwiedzali, a ich rezydenci równie chętnie uciekali od atmosfery życia dworskiego do atmosfery życia „demokratycznego”. Marta była naszą pocieszycielką. Nikomu nie pozwoliła się martwić, nikomu wątpić w pomyślne zakończenie wojny. Najsprytniejsza z nas, gromadziła zapasy żywności w niezliczonych ilościach i dzieliła się nimi z nami jak również szykowała ją do paczek, które wysyłała do oflagów i stalagów. Uprawiała cebulę i czosnek. Marta była wyjątkowo praktyczna i gospodarna, o czym może zaświadczyć obecny Marszałek Sejmu, Czesław Wycech, którego los, po powstaniu warszawskim, rzucił właśnie do Jej domu. Nie-zmarnowała nic z rzeczy nadających się do zjedzenia, umiała gotować świetną zupę z „dutek” od cebuli, robiła wspaniałe sałatki z jarzyn bez śmietany, jajek i majonezu. Raz tylko nie udał się Jej chleb; upiekła go w brytfannie służącej za formę do mydła. Wymyta była na pewno dobrze, ale mydło wżarło się głębiej w żelazo i chleb był „niezjadliwy”. Marteczka przerobiła go na sucharki, ale po pewnym czasie, w miarę podwyższania się stopy życiowej, przyniosła je naszemu Misiowi, ten jednak, mimo że zdarzało się mu często być głodnym, nie rzucił się na sprawioną mu ucztę.

Kochana, serdeczna koleżanka, w gromadzeniu zapasów myślała tylko o nas, wszystkim się z nami dzieliła, zapraszała nas do siebie i mówiła: „Jedzcie dziewczynki”. Gdy udało się Jej zdobyć ryby z Drzewiczki albo raz w roku kurę, przychodziła z tą zdobyczą do nas i robiła tak zwane chińskie przyjęcie, czyli przyjmowała nas u nas. Żadna ilustracja św. Mikołaja obładowanego darami dla grzecznych dzieci nie dorównywała obrazkowi, jaki ukazywał się nam w dzień Wigilii. Szła Marta, pięć kilometrów, często w czasie zawiei. Na lasce niosła paczkę z prezentami, w jednej ręce trzymała garnek z rybami (tradycyjny dar ze dworu Drużbackich w Zameczku), w drugim bańkę z zupą grzybową. Obok Niej kroczyła Zosia z Bielowic z kompotem i na przykład ciastem (zawsze, chociaż owsiany, był), za Nią Ludka, bratanica Marty z resztą smakołyków i prezentów i ślicznymi bombkami na choinkę własnej produkcji z wydmuszek od jajek (istne arcydzieła).

Nasza Marta umiała w niezwykły sposób pocieszać wszystkich zmartwionych po kolei. Mawiała: „Zobaczycie, zobaczycie, jeszcze będzie dobrze”. Nie wróżyła szybkiego zakończenia wojny i na ten temat dochodziło do zakładów o różne rzeczy, które miały zostać zrealizowane po wojnie, na przykład o materiał na kostium, o kamienicę we Frankfurcie nad Menem.

Nieodłączną naszą towarzyszką była Zosia z Bielowic. Marta, mając do nas pięć kilometrów, wstępowała po Zosię, nadrabiając do dziewięciu kilometrów drogi, i przychodziły razem. Raz, kiedy Marta przyszła do Bielowic, Zosia właśnie piekła chleb. Marta, która zawsze miała radę na zawołanie, powiedziała: „Przecież chleb możesz upiec u Fredy”, no i naturalnie zabrały ciasto w serwetę i przyszły z nim do Libiszowa.

Przeżyliśmy ważne wydarzenie dotyczące Zosi. Byliśmy na oryginalnym weselu, gdzie pan młody był reprezentowany przez fotografię umieszczoną wśród biesiadników. Zosia wzięła ślub tu, a Jej Michał w oflagu, obozie jenieckim.

Również Stefa Balonowa z Wygnanowa należała do grona moich bliskich. Była ona najmniej z nas odporna na działające huragany pożogi wojennej. Sama z dzieckiem w szkole, ponieważ Jej mąż przebywał w obozie w Murnau, koleżanka ta potrzebowała opieki moralnej i materialnej, którą w rozmaitej formie otrzymywała. Objęta była pomocą przez Komisję Oświatową. Pomagałyśmy Jej też w przygotowywaniu paczek dla męża. Jeżeli chodzi o pomoc dla jeńców, wciągałyśmy też do akcji zbierania świadczeń miejscowe społeczeństwo, a same robiłyśmy ciasto i piekłyśmy suchary. Takie paczki wysyłane były za pomocą Czerwonego Krzyża do obozów jenieckich.

Z koleżanką Janiną Widomską z Januszewic łączyła mnie jedność przekonań na różne sprawy. Z Nią spotykałam się jednak tylko w gminie i Opocznie, gdyż odległość jak również brak czasu nie pozwalał nam na wzajemne odwiedzanie się. Widomska była dla mnie wzorem nauczycielki i prawego człowieka. Warunki domowe miała trudne: dwoje małych dzieci i prawie niewidomego męża, jednak to nie wpływało ujemnie na wypełnianie obowiązków nauczycielki. Koleżanka Widomska oburzała się zawsze na szerzące się pijaństwo administracji gminnych i lekkie traktowanie niektórych palących spraw. Nie wszystkie gminy miały tak lekkomyślny stosunek do spraw życiowych swego terenu, ale większość prowadziła bez troskie życie, chociaż nie mogły im zarzucić jakichś kontaktów z Niemcami, odwrotnie mieli kontakt z walką zbrojną prowadzoną przez konspirację i odgrywali ważną rolę przy wyrabianiu dokumentów dla tak zwanych „spalonych”.

W roku 1944 nie miałam niestety czasu na prywatne kontakty z koleżankami. Rok ten obfitował w wydarzenia następujące jedno po drugim. Nie było chwili wytchnienia. Należałam wtedy do Stronnictwa Ludowego, stąd ciągłe kontakty z ludźmi z organizacji. Dom mój był jakby stworzony do konspiracji. Często odbywały się w nim spotkania i narady. Coraz więcej przybywało ludzi „spalonych” i bezdomnych, których trzeba było przyjąć pod swój dach, podzielić się żywnością, której dla nas samych nie wystarczało. Koledzy, z którymi współpracowałam w Komisji, zapadli na zdrowiu. Kolega Baran zachorował na gruźlicę, kol. Szczepański na zapalenie płuc, na mnie więc złożono obowiązki przewodniczącej Komisji Oświatowej.

Rodzina moja powiększyła się o jeszcze jedną osobę, Janka Kosowskiego, dwudziestoletniego siostrzeńca z powiatu kutnowskiego, z ziemi przyłączonej do Rzeszy, czyli Wartegau. Zbiegły z Rzeszy, uciekinier z pracy w fabryce w Głownie, z „lewymi” dokumentami, nie mógł iść do pracy. Niezatrudniony przez miejscowy Arbeitsamt, nie był bezpieczny u mnie, a poza tym – będąc już poprzednio w akcji podziemnej - rwał się do czynu. Trzeba było Go niejednokrotnie „tłumić”, by nie ściągnął na siebie i na nas nieszczęścia, tym bardziej, że nie znał terenu ani ludzi. Nie pracował więc, a jeść potrzebował.

Nadszedł lipiec 1944 roku – ofensywa nad Wisłą. Koleżanka moja, korzystając z wakacji, wyjechała do rodziców w Sandomierskie, czyli właśnie w miejsca, które były terenem walk. Straciłam więc na dłuższy czas podporę w pracy. Nastąpiła jednak odwilż w naszych uczuciach, budziła się nadzieja. Rozpoczęła się wędrówka ludów. Cywilni Niemcy przesuwali się na Zachód, zdawało się więc, że przyszedł odpowiedni moment do wyjścia z konspiracji i połączenia się z siłami, które łamią potęgę niemiecką. Zainstalowane w klasie na czas wakacji małe kryształkowe radio podawało wiadomości spod Warki. Niestety, pojawiły się jak fata morgana i ucichły. Wybuchło to straszne powstanie. Widoczne były dymy pożarów Warszawy, słyszeliśmy wieści z pierwszych dni powstania, a potem nadchodziły transporty powstańców i ludności cywilnej.

Bezładne opowiadania o piekle przeżytych w stolicy zlewały się w jakąś okropną całość. Do mojej świadomości nie docierały już pojedyncze skargi ludzi, nie mieściły się wyraźnie obrazy tak jaskrawo oddawane, w mojej jaźni powstał jakiś niepojęty obraz piekła, a trzeba było z tego koszmaru obudzić się, ludzie wydarci śmierci chcieli jeść. Wyszli z domów w gorący sierpniowy dzień, bez ciepłych ubrań, często boso. Trzeba było rozmieścić ich, by mieli dach nad głową, jakieś miejsce do spania i jaki taki posiłek. Mnie znowu, z ramienia RGO, przypadł obowiązek zajęcia się - wspólnie z sołtysami - rozmieszczeniem tych ludzi. I od tej pory już czas nie należał do mnie. Codziennie, nieraz od piątej rano, zjawiali się ludzie, żeby się pożalić, poskarżyć, prosić o interwencję. Trzeba było rozwiązywać problemy i konflikty, trzeba było tak postępować, by nie było krzywdy po żadnej stronie. Żale ze strony wysiedlonych były słuszne i niesłuszne. „Można cholery dostać od tego barszczu!” - skarżyła się niejedna. Cóż jednak innego mogła dać wysiedleńcom wieś opoczyńska ponad barszcz i kaszę jaglaną? Dawaliśmy z domu wszystko, co dać było można: pierzynę, dywany, a nawet chodniki do przykrycia. Siostrzeniec sporządzał lampki i piecyki z puszek od konserw, ale ta pomoc była kroplą w morzu potrzeb tych ludzi, którzy w pogodny dzień opuścili dom, czasem tylko w bieliźnie i boso. A jesień po upalnym czasie powstania była tak przykra, tak mokra, że tonęło się w gliniastym błocie do łydek.

Stosunek ludzi ze wsi do warszawiaków na pewno nie we wszystkich wypadkach był dobry, ale przynajmniej połowa ludzi to byli tacy, którzy dawali wszystko to, co sami jedli, a nawet zdarzały się sytuacje, że dawali wysiedlonym lepiej jeść niż sami jedli. Trudno określić, czy to robili z serca, czy dla pochwały, to trudno ocenić. Były też naturalnie dość liczne przypadki złego stosunku do wysiedlonych. Trzeba było być Salomonem, aby zażegnać niejedną burzę, żeby jakoś wybrnąć z tej sytuacji, poprawić wzajemne stosunki.

Ja przyjąłem do siebie żonę profesora Wyższej Szkoły Handlowej, panią Wandę Pikielową. W listopadzie odnalazł się Jej mąż i przebywali u mnie do stycznia 1945 roku. Więcej osób przyjąć nie mogłam, bo ani warunki materialne, ani praca konspiracyjna na to nie pozwalały. I tak już było nas siedem osób. U koleżanki Marty było łącznie z Jej siostrzenicą i gospodynią dziewięć osób, w tym późniejszy marszałek sejmu, Czesław Wycech, wraz z córką i synem. Marszałka poznałam u Marty. Widziałam, jak sprawiedliwie rozdzielał chleb, krojąc na przemian, to z bochenka czarnego, to z białego i dzielił go pomiędzy domowników. Miałam też przyjemność gościć Marszałka u siebie w Libiszowie, gdzie nastąpiło przypadkowe spotkanie z Wojtaszkiem. Obaj przypominali sobie czasy przedwojenne, kiedy to w swojej pracy kulturalno - oświatowej i politycznej nie zgadzali się z linią rządu sanacyjnego i byli za to prześladowani. Już wtedy wiedziałam, że Wycech kierował pracą podziemną. Marszałek był w powiecie opoczyńskim tylko około miesiąca, poczym wyjechał do Krakowa na poszukiwanie żony, a następnie pewnie zajął się pracą.

Jeżeli chodzi o stosunek do wysiedlonych, to trzeba przyznać, że lepiej spisywały się dwory niż okoliczni księża. Pewnie, że spośród ludzi przebywających na przykład we dworze w Zameczku znaleźli się przede wszystkim ludzie związani z nimi jakimś pokrewieństwem, ale oprócz tych byli różni. Często, szczególnie po powstaniu, zasiadało u nich przy stole ze czterdzieści osób, a jeszcze oprócz tego dawano porcje żywności dla tych poza dworem. Wprawdzie przy stole dworskim, im dalej siedział ktoś od pierwszego miejsca, tym jego nadzieja na zjedzenie jakiegoś skwarka malała, to jakoś się jednak pożywił. Dwory naturalnie popierały bardziej NSZ niż AK i BCH, natomiast księża na ogół zachowywali się aspołecznie, odwracali się od udzielania pomocy (zastrzegam się, że nie znałam pod tym względem księży z całego powiatu). Inna rzecz, że chłopcy z lasu regulowali te sprawy i nie dawali księżom optywać w dostatkach; oni także często cierpieli biedę.

Zdawało się, że ogień powstania warszawskiego przeniósł się na całą, maleńką zresztą, Generalną Gubernię. Niemcy gorączkowo przystąpili do likwidacji oddziałów partyzanckich. Większe oddziały zostały rozproszone. Żołnierze armii podziemnej przeszli na „meliny”, wszędzie było pełno ludzi i czuło się strach o ich i swoje bezpieczeństwo. Na Pilicy Niemcy umacniali linię obrony i codziennie wywozili ludzi do tej akcji, a stamtąd często w nieznane. W

takich warunkach zdrowie moje zaczęło szwankować. Dostałam silnej anemii i przeleżałam cztery tygodnie w łóżku.

Atmosfera przy końcu roku 1944 stawała się bardzo ciężka. W przeludnionej Generalnej Guberni zaczęliśmy się formalnie dusić. O 10 kilometrów od mojej szkoły, przez Inowłódz, przebiegała linia obrony Niemców przed Armią Czerwoną. Czuło się dynamit pod nogami. Epilog powstania warszawskiego, łapanki, wywożenie młodzieży na okopy i w nieznane, rozbijanie po lasach całych oddziałów partyzanckich, to było życie, które w każdej minucie mogło się skończyć. Śmierć była codziennym druhem i była niestraszna, zdarzały się gorsze rzeczy. Kiedyś szłam do kolegi Barana do Ogonowic i słyszę płacz ludzi. Podchodzę i dowiaduję się, że jechali własowcy i tak bez powodu strzelali sobie do ludzi. Ofiary leżały na drodze. Gdybym szła te 20 minut wcześniej, czy tam bym nie leżała? Moje siły fizyczne opadały zupełnie: anemia i wyczerpanie nerwowe złożyły mnie na cztery tygodnie do łóżka, ale i wtedy nie przestałam pracować. W tym czasie kolega Świetliczko, prezes okręgu łódzkiego, oddał w moje ręce pracę TON-u, a wkrótce kolega Baran zrzekł się przewodnictwa Komisji Oświatowej, bo czuł się coraz gorzej.

Wigilię roku 1944 miałam zamiar spędzić w gronie rodzinnym, wspólnie z wysiedlonymi. Marta w tym roku miała nie przyjść, bo przecież i ona miała dla kogo urządzić te święta. W przeddzień wigilii postanowiłam obejść wszystkie domy na wsi i upewnić się, że wśród moich podopiecznych nie będzie człowieka, który nie miałby najskromniejszej chociaż wieczerzy. Niestety, nie było nam sądzone przeżyć w spokoju tej ostatniej wojennej wigilii. Miałam ten wieczór spędzić ze swoimi domownikami w domu przy skromnym stole wigilijnym, przy tradycyjnej choince. Ach, jaki upragniony był dla mnie ten spokój! Niestety, to było tylko marzenie. O godzinie piątej wieczorem miejscowa placówka oznajmiła mi przybycie partyzantów. Były to resztki oddziału Doliny rozbitego w Kampinosie po powstaniu, dwudziestu kawalerzystów ze swoim dowódcą. Niedługo zjawił się oddział na koniach. Była to piękna i straszna noc spędzona wspólnie przy dość suto zastawionym stole wigilijnym. To dwór z Kraśnicy przysłał gotową wieczerzę, nie zapominając nawet o małej choince. W naszych sercach gościły dwa sprzeczne uczucia: radość z drogich nam gości połączona ze strachem przed ewentualnymi następstwami, z lękiem już nie o siebie, bo człowiek miał już czas oswoić się z niebezpieczeństwem, ale o bliskich i mieszkańców wsi. Sześć kilometrów od nas, w Opocznie, było gestapo. Zdawałyśmy sobie jasno sprawę z odpowiedzialności, jaka na nas ciążyła. Przyjęcie lub nieprzyjęcie partyzantów na wigilię nie było od nas zależne, ale gdyby nawet tak było, czy miałby człowiek taką siłę, aby pokazać im drogę tam, skąd przyszli, do ciemnego, mroźnego lasu? Ci tułacze i nas siedmioro – odłamki czterech rodzin, jakież to było wzruszające. I ja, która zapomniałam modlitwy, modliłam się słowami pieśni śpiewanej przy małej choince umieszczonej na wigilijnym stole:

O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj!
Do wolnej Polski nam powrócić daj!
By stał się twierdzą naszej siły
Nasz dom, nasz kraj!

Noc zesłała na opowiadaniach, na wspomnieniach i na recytacjach. Dzień wygnał naszych gości do lasu, gdzie byli ścigani przez Niemców. Nie wszyscy wrócili na przygotowaną następnego dnia kolację.

Okres dzielący nas od świąt Bożego Narodzenia do rozpoczętej ostatniej ofensywy w dniu 12 stycznia 1945 roku był bardzo gorący. Nie było skrawka ziemi bezpiecznej, nikt nie wiedział, czy przeżyje następny dzień. Las przestał być schronieniem. Po świętach miałam za zadanie ugotowanie 150 kilogramów mydła i przygotowanie do rozesłania go ludziom będących w trudnych warunkach materialnych, już nie tylko nauczycielom. Po wykonaniu tej pracy wyjechałam do Piotrkowa, bo jako przewodnicząca Komisji Powiatowej miałam się tam spotkać z okręgowymi władzami oświatowymi (Piotrków był siedzibą władz okręgowych, czyli tajnego kuratorium na województwo łódzkie) celem otrzymania instrukcji i nastawienia się do pracy w tym okręgu. Wyjechałam w dniu 12 stycznia, czyli – jak się okazało – w dniu rozpoczęcia

ofensywy na Wisłą. W Piotrkowie wszystko odbywało się starym trybem, jeszcze była w mieście łapanka. Konferencja trwała dwa dni, zetknęłam się wtedy z profesorem Julianem Żukowskim, który był przedstawicielem Departamentu Kultury i Oświaty na szczeblu wojewódzkim, z kolegą Nowakiem (?) i kolegą Janem Barteckim. Spotkałam tam po raz drugi Czesława Wycecha w jakże odmiennych niż poprzednio warunkach. Odwiedziłam wtedy koleżankę Skibową, która była pod opieką Komisji i przebywała wówczas w Piotrkowie. Po otrzymaniu instrukcji myślałam tylko o tym, żeby je po powrocie zrealizować.

W niedzielę 14 stycznia wyjechałam z Piotrkowa do Skierniewic na tajną konferencję związkową. Podróż odbywałam razem z prof. Julianem Żukowskim i prezesem Okręgu ZNP, zasady bezpieczeństwa nakazywały jednak zawsze przebywać w pewnej od siebie odległości. Na konferencji był obecny kolega Czesław Wycech i prezes okręgu łódzkiego Stanisław Świetliczko. Zebranie odbywało się w budynku księgarni u kolegi Grunela. Referaty i dyskusje wyryły się głęboko w mojej pamięci i cementowały postanowienie pracy na moim odcinku. Nikt z obecnych nie zdawał sobie sprawy z sytuacji na froncie, nikt nie wiedział o rozpoczętej ofensywie. Noclegu w Skierniewicach nigdy też nie zapomnę. Otrzymałam adres koleżanki emerytki. Poddasze, na którym mieszkała, mieściło się nad Wehrmachtem na ulicy Kolejowej 8. Nie byłam o tym uprzedzona i wiele przeżyłam, zanim się tam dostałam. Sprawiałam gospodarzom wiele kłopotu już po godzinie policyjnej i kiedy myślałam, że moje nieszczęście się skończyło, poprosiłam koleżankę, żeby – w razie, gdyby mnie ścigano – powiedziała, że jestem Jej kuzynką. Odpowiedziała mi, że ona codziennie chodzi do spowiedzi i kłamać nie może. Widząc, że mam do czynienia z chorą osobą, zdałam się na łaskę losu. Niewiele spałam tej nocy, bowiem w nocy koleżanka wstała i łatała koszulę, która już miała wiele łat, nitką wyciąganą z żółtego materiału. Przyjęła mnie odciągającym mlekiem z wodą, ja miałam chleb. Za całe bogactwo miała ta koleżanka ładne futro i ono właśnie zmyliło członków TON. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że w ich zasięgu może być koleżanka w takiej sytuacji. A przecież ja miałam z sobą papiery i pieniądze, które kompromitowały mnie swoimi kolejnymi numerami. Nigdy chyba nie czekałam rana jak wtedy. W lokalu związkowym zastałam prawie wszystkich uczestników konferencji i opowiedziałam im wrażenia tej nocy.

Nazajutrz część uczestników wyjechała do Godzianowa na odprawę trójek gminnych powiatu łowickiego i skierniewickiego. Ja miałam zapoznać się z wysoko postawioną pracą w tych powiatach, by przenieść pozytywy do pracy w moim powiecie. Byłam olśniona tajną szkołą w Godzianowie, w której nie zabrakło nawet teatrzyku kukielkowego.

Nie dane mi było być do końca dwudniowej konferencji. 15 stycznia wieczorem od przybyłych przedstawicieli kierownictwa z Piotrkowa dowiedziałam się, że mam już drogę do domu odciętą przez front.

Szesnastego stycznia rano próbowałam wsiąść do ostrzeliwanego pociągu na stacji w Płyćwi. Pod ostrzałem z karabinów maszynowych i artylerii ukryłam się w lasku i wtedy zdecydowałam się odbyć drogę do domu pieszo. Bezsenną noc spędziłam w Rogowie oświetlonym reflektorami bombardowanej Łodzi. Rankiem 17 stycznia próbowałam jeszcze raz w Słotwinach wsiąść do pociągu, ale trafiłam na moment dewastowania stacji i jej opuszczania przez Niemców. Postanowiłam omijać tory i weszłam na szosę, nie wiedząc, że i tam czyha na mnie niebezpieczeństwo. Szosa pełna lejów od bomb prowadziła do wsi Regny, w pobliżu której była podobno największa prochownia w Polsce. Znalazłam się tam w chwili, kiedy ludzie opuszczali swe domy, bo za pół godziny miały się rozleć pierwsze wybuchy wysadzanych w powietrze obiektów prochowni. Ludzie, jak mnie poinformowano w szkole, przewidywali możliwy rozwój wydarzeń na podstawie tego, co działo się tu w 1939 roku. Nie było sensu tam pozostawać, ruszyłam znowu dalej nie zwracając uwagi na dymy palonych właśnie przez Niemców baraków zasłaniające drogę na skraju lasu i wybijanie przez nich szyb. Początek drogi przeszedłam z dwoma robotnikami zwolnionymi z pracy w prochowni, ale ich droga prowadziła w lewo, a ja szłam dalej przed siebie przy akompaniamencie eksplozji wysadzanej w powietrze prochowni. Wreszcie puste pole i wieś Budziszewice. Jakież było moje przerażenie, kiedy ujrzałam sznur czołgów radzieckich. Na szczęście szkoła była tuż, tuż i tu znalazłam schronienie.

Na budynku powiewała już flaga zwycięskiej armii, na ziemi leżały trupy żołnierzy radzieckich. Za chwilę był nalot. Kazano mi skryć się w piwnicy, która w moim mniemaniu nie mogła być żadną ochroną, ale człowiek, kiedy tylko zakryje oczy, czuje się bezpieczniejszy. Była to jednak tylko chwila, poczym zdecydowałam się iść dalej z jedną z przekupek wracającą do domu z Kuluszek czy Łodzi do jej domu. Szłyśmy naprzeciw pierwszym kolumnom zmotoryzowanych wojsk radzieckich. Gnali jak wichry. Kobieta podnosiła co chwilę ręce do góry, a ja korzystałam z tych Jej gestów, bo sama nie miałam siły, aby zdobyć się na podobną gimnastykę. Już o dobrym zmierzchu dotarliśmy do celu podróży. Ludzie tu mieli do zaoferowania bardzo nędzny kapuśniak i legowisko na ziemi (podłogi nie było). Na drugi dzień opuściłam gościnnie skrajnie biedny dom i próbowałam wracać do siebie. Marzyłam o tym, że dotrę po drodze do niektórych szkół w powiecie, by załatwić sprawy związane z pracą w Komisji. Skoro świt ruszyłam w drogę ku domowi, ale znów na mojej drodze znalazły się czołgi. W lasach było pełno Niemców, którzy stawiali opór i znów teren był areną zawziętych walk, które zmusiły mnie do zatrzymania się w małej wiosce (jej nazwy nie pamiętam). Tam mnie spotkało szczęście w nieszczęściu, a mianowicie towarzysza podróży do Opoczna, a w dodatku furmankę, bo był to zabłąkany podwodzianin. W piątek rano, 19 stycznia rozpoczęłam ostatni etap drogi, ale już furmanką. Droga prowadziła przez las. Coraz częściej napotykalśmy trupy hitlerowskich żołdaków. Od Lubochni szła naprzeciw nas piechota radziecka, co chwila trzeba było zjeżdżać z drogi i wsiadać w biegu. Co chwila któryś z żołnierzy chciał nam zabrać konia, inny, kierowany jakimś uczuciem, obronił nas. Jechaliśmy przez spalone lotnisko Glinnik (obok Spały). Co chwila musieliśmy zbaczać z drogi w las, by zostawić wolną drogę nadjeżdżającym samochodom. A teren był zaminowany, wszak te miejsca nad Pilicą były ważnym punktem strategicznym uzbrojonym w bunkry i miny. Wjechaliśmy wreszcie do Inowłodza - miasta umarłych. Dużo domów było zniszczonych, trupy gęsto porozrzucane na ulicy i w podwórzach. Następnie kilka godzin musieliśmy czekać na możliwość przeprawy przez pontonowy most na Pilicy i jechać dalej po trupach dość gęsto usłanych na drodze żołnierzy zmarzniętych, sztywnych. Przed nami pozostał dziesięciokilometrowy odcinek drogi do mojej wsi. Jak straszny i przerażający widok przedstawiała ta droga. Zmarznięte, nagie trupy tej niezwykłej dotąd armii podnosiły się pod naciskiem kół wozu, budziły we mnie odrazę i coraz większy lęk o moich najbliższych, o moją chatę. Wreszcie pojawił się przed nami kres podróży – Libiszów. O ile dotąd może instynkt-samozachowawczy kazał mi się bronić przed myślą o najbliższych, tak teraz pojawiła się trwoga, co zastanę, czy zastanę jeszcze wieś i ich. Piaszczysta droga prowadząca do wsi powiedziała mi wiele więcej niż przypuszczałam, zamieniona w asfalt pod ciężarem ciężkich pojazdów świadczyła o tym, że i tu przetoczyły się walki, że wieś znalazła się w samym centrum bitwy.

Lęk o najbliższych spotęgował się jeszcze bardziej, gdy zobaczyłam na ostatnim zakręcie spalony dom. Z bijącym sercem szłam przez wieś. Zmrok już zapadał, ludzi nie było widać, a w dodatku bałam się zapytać i dowiedzieć się może tragicznej prawdy. Ostatni zakręt, kilka domów spalonych i jeszcze te ostatnie 400 metrów.

Wreszcie jestem już blisko. Dom, czyli budynek szkoły stał nietknięty. Jeszcze kilka chwil i wsunęłam się do mojego domu, szukając oczyma wszystkich moich bliskich. Wszystkich odnalazłam. Oni z kolei patrzyli na mnie, nie wierząc, że to rzeczywiście jestem ja. Zaczęły się wzajemne opowiadania. Dowiedziałam się, jakie koleje losu przeżyli w ciągu tego tygodnia.

Domownicy moi przeżyli również niemało. Przez jedną noc (lub kilka dni) byli partyzanci ze znajomego oddziału Doliny, w drugą noc stacjonował sztab niemiecki, który właśnie wtedy otrzymał rozkaz ucieczki, następnego dnia pojawiły się wojska radzieckie, które pędziły za resztkami uciekającej armii niemieckiej. Padały często trupy żołnierzy niemieckich. Za chwilę po moim powrocie szkołę i część mieszkania zajęli żołnierze radzieccy. Większe bitwy i pojedyncze potyczki trwały jeszcze przez cały tydzień na terenie powiatu. Szczególnie ucierpiała część południowozachodnia. Okopy koło Opoczna stały się wspólnym grobem hitlerowców, na naszym cmentarzu w Libiszowie wyrosła zbiorowa mogiła z zabitych pojedynczych żołnierzy niezwykłej armii. Teraz szybko następowały ważne wydarzenia, moją chatę opuścili wszyscy, którzy znaleźli w niej schronienie. Wyjechali do swoich domów siostrzeniec Janek i

siostrzenica Zosia. Państwo Pikielowie wyjechali jeszcze przed ofensywą. Zostałyśmy tylko obie z koleżanką i z moją córką. Trzeba jak najprędzej uruchomić szkołę, pełną, jawną szkołę w nowej, wolnej Ojczyźnie. Cóż, kiedy brakło sił do pracy. Ciężka choroba złożyła mnie w łóżku. Nie mogłam być na pierwszej powiatowej konferencji nauczycieli i nie mogłam tego przeboleć. Leżąc kilka tygodni w łóżku układałam w marzeniach to nowe życie w Polsce Ludowej, pracę nowej szkoły.

Pierwszy Zjazd Nauczycielski w Łodzi, którego byłam uczestnikiem, wiązał pracę szkoły podziemnej z nowymi zadaniami polskiej szkoły. Jednak nowe władze szkolne starały się to przemilczeć i chciały budować nową szkołę bez uwzględnienia sił tkwiących w podziemnej pracy oświatowej. Owszem, komisje weryfikacyjne przystąpiły do pracy, ale czuło się, że materiał był martwy, że dało to jedynie nikłe efekty materialne, nie wykorzystano żywych ludzi do twórczej pracy oświatowej w Odrodzonej Polsce Ludowej

Z dniem 1 września moja koleżanka, współpracowniczka, Janina Granat, odeszła, sprawy rodzinne zmusiły ją do przeniesienia się do Ćmielowa. Straciłam przyjaciółkę, nie miałam zdrowia, córka kończyła sześć oddziałów. Wszystko to skłaniało mnie do przeniesienia się bliżej rodziny i szkoły średniej. Z bólem serca żegnałam powiat, którego ścieżki tyle razy przedeptałam, który był mi już bliższy niż rodzinny.

W listopadzie 1945 roku, wspólnie z kol. Wojtaszkiem, wystawiałam zaświadczenia z podziemnej pracy oświatowej wszystkim kolegom i koleżankom i tym zamknęłam jeden okres mojego życia, a zaczęłam nowy, który również wcale nie był lekki.

Wspominałam już, że władze oświatowe nie otoczyły należyłą opieką pracy podziemnej, ale czemu ludzie kierujący pracą nie włączyli się do rządzenia krajem, do prowadzenia wytyczonej przez siebie polityki oświatowej? Przecież działalność podziemna, a szczególnie praca oświatowa wymagała działań długofalowych, dopasowanych do warunków przejściowych w czasie okupacji, a następnie pracy w wolnej już ojczyźnie, której wizja nie zniknęła ani na chwilę. Jakże ja ciężko dostałam za to, że swoją orientację polityczną związałam z polityką Rządu Jedności Narodowej, z osobą ministra Wycecha i jego najbliższym otoczeniem. Byli oni moimi przywódcami duchowymi aż do chwili, kiedy sformułowałam własny pogląd na sprawy. W pewnym momencie stanęłam na rozdrożu i nie wiedziałam, w którą stronę iść. Zadawałam sobie pytanie, czy chodziło tylko o zdobycie stanowisk i uważałam, że ludzie z podziemia zdrowi, pełni energii, z odpowiednim przygotowaniem powinni wejść do władz i zająć te stanowiska. Uniknęlibyśmy w ten sposób wielu błędów. Ja osobiście nie miałam żadnych ambicji. Byłam skołatana, chora, bez odpowiednich kwalifikacji. Jedyne moje kwalifikacje to pogarda śmierci i trochę odwagi, co było konieczne do organizowania pracy podziemnej. Na zdobywanie kwalifikacji, co było dostępne, nie miałam zdrowia i możliwości życiowych.

Miałam trochę dokumentów z tajnej pracy oświatowej w powiecie, ale trzymanie ich dotąd uważałabym za stwarzanie pewnego rodzaju stanu konspiracji, a ja takiego stosunku do Polski Ludowej mieć nie mogłam.

Starałam się wszelkimi siłami zasłużyć na zaufanie władz i pracować dla dobra Polski Ludowej, zachowując równocześnie własną osobowość.

Ale były chwile, że nie umiałam się ze wszystkim pogodzić, nie umiałam kłamać, godziłam się z tym, że tak jak wszyscy starsi, jesteśmy mierzwą, która istnieje po to, aby wszyscy młodzi mogli wyciągnąć wszystkie soki ożywcze dla siebie, ale kiedy tę młodzież nastawiano przeciwko nam, kiedy kazali spalać się im w imię wyższej idei, wstydzić się za patriotyzm rodziców idących trochę odmienną drogą do wolności, moja wizja demokratycznej Polski załamywała się. Trudno było się cieszyć, że moja córka, studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, musiała, aby uniknąć konsekwencji ze strony Związku Młodzieży Polskiej, ukrywać tak zwaną złą drogę do wolności jej Ojca, która wiodła szlakiem pustyni irackiej, pustyni afrykańskiej do Monte Cassino i Anglii, że Jej matka, choćby nawet w pewnym sensie zbłądziła, to tylko dlatego, że nie działała na szkodę Polski. Cieszyłam się natomiast, że moja córka mogła skończyć wyższe studia i ona też to umiała ocenić, a przecież przy takim obciążeniu dziedzicznym mogła tego nie osiągnąć.

Oto garść moich wspomnień, może nie wszystkie pozostały w mojej pamięci. Pomięłam może dużo ważnych momentów, trudno wyrwać je z mojej jaźni, tkwią tam głęboko.

Może nie oddałam obrazu walki z okupantem, życia codziennego społeczeństwa powiatu opoczyńskiego, a przynajmniej najbliższego otoczenia, nie opisałam łapanek, rewizji, aresztowań, walki o każdy kęs chleba dla siebie i innych. Odległość czasu tak jak odległość ekranu zamazuje ostrość obrazu.

Przekazując garść tych wspomnień załączam jedyny dokument, jaki mi pozostał z czasów pracy w moim powiecie: pewne dane statystyczne ze szkoły w Lipinach, które mówią wiele, ale nie wszystko o tej naprawdę wspaniałej pracy. Może są wspanialsze pomniki podobnej działalności, może gdzieś była większa grupa ludzi, może rozporządzali większymi środkami materialnymi, ale tak, z gołymi rękami i tylko z sercem gorejącym miłością do Ojczyzny, do polskiego dziecka stworzyć takie dzieło - to niezwykle. Koleżanki w moim mniemaniu zasłużyły na najwyższe odznaczenie, jakim Polska Ludowa może obdarzyć swojego nauczyciela, niezłomnego szermierza oświaty w najtrudniejszych warunkach.

Fragment zaginionego maszynopisu

... We wszystkich prawie pracach towarzyszył mu Edward Milas, który był również niestrudzony i odważny w czynach.

Wszyscy wymienieni w moich wspomnieniach działacze należeli do Stronnictwa Ludowego i pracowali w Batalionach Chłopskich, zorganizowanych na terenie powiatu. Ja wstąpiłam do Stronnictwa Ludowego 4 lipca 1943 roku, w pamiętny dzień śmierci generała Władysława Sikorskiego. Wiadomość o śmierci dotarła do nas natychmiast po wypadku i wstrząsnęła nami głęboko. Przysięgę składałam w tym dniu jeszcze na ręce Delegata Rządu, Stefana Szymańskiego.

Wielką i chyba największą rolę w życiu konspiracyjnym powiatu, odegrał wspomniany już wyżej Gruda (Władysław Głębiński). Już jako prezes Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Opocznie za czasów okupacji, wiele zrobił dla ludności powiatu, jak również dla ruchu oporu w powiecie. Kiedy Niemcy ujawnili jego działalność, wielce szkodliwą dla siebie, postanowili aresztować go. Uratował się ucieczką. Jako spalony przeszedł całkowicie do pracy podziemnej. Ze względu na bezpieczeństwo własne i organizacji musiał bezustannie zmieniać miejsce pobytu. Między innymi przebywał często w moim mieszkaniu, kierując niestrudzenie pracą konspiracyjną. Łatwo nawiązywał kontakt z chłopami, bo sam nim był, ale również z niemniejszą łatwością nawiązywał kontakty z ludźmi z innych środowisk społecznych. Umiał przekonywać, rozkazywać i żądać. Potrafił regulować również niewłaściwe postępowanie niektórych grup partyzanckich. Dziwna wewnętrzna siła cechowała tego człowieka. Działalność Grudy uzupełniał jego szwagier, Sobczyk ze Studzianny. Sobczyk, mimo że już wtedy był niemłody, nie zawahał się przed największymi trudnościami i niebezpieczeństwem; odznaczał się nadzwyczajną rozwagą i rozumem, często pełnił rolę hamulca w zbyt śmiałych i niebezpiecznych przedsięwzięciach Grudy. Z wielkim oddaniem pracowali jako łącznicy Andrzej Chmal z Sobawin, Stefan Kołodziejczyk, i Paweł Głębiński ze Studzianny, brat Grudy, oraz wielu innych.

Jak już wspomniałam, wielu nauczycieli brało udział w walce z Niemcami na różnych frontach, wielu było zamkniętych w oflagach i obozach, wielu chroniło się ucieczką przed aresztowaniem, wielu zginęło w obozach koncentracyjnych, ale ci, którym udało się pozostać przy życiu, w jakimś stopniu włączali się do cichego frontu. W każdej gminie był nauczyciel czy grupa nauczycieli, którzy byli z nami związani, czy to w pracy oświatowej, czy też w BCh, lub AK, AL, itp. W naszej armii cichego frontu w obrębie powiatu czuliśmy się jedną rodziną, której cele i zadania były zespolone. Nie było granicy, gdzie się zaczyna praca Komisji Oświatowej, gdzie Delegatury Rządu, gdzie Stronnictwa Ludowego czy BCH. Mieliśmy jeden cel odzyskanie Wolnej Polski. Nie było nam obojętne, jaka ta Polska ma być. Chcieliśmy mieć Polskę sprawiedliwą, ludową, a nie dawną obszarniczą. Często obok twardej, nadludzkiej pracy, czasem walki, oddawaliśmy się marzeniom, z wiarą śniliśmy o Polsce, która da wszystkim szczęście w pracy na wszystkich odcinkach. Nie izolowaliśmy się w obrębie powiatu, ale utrzymywaliśmy

siostrzenica Zosia. Państwo Pikielowie wyjechali jeszcze przed ofensywą. Zostałyśmy tylko obie z koleżanką i z moją córką. Trzeba jak najprędzej uruchomić szkołę, pełną, jawną szkołę w nowej, wolnej Ojczyźnie. Cóż, kiedy brakło sił do pracy. Ciężka choroba złożyła mnie w łóżku. Nie mogłam być na pierwszej powiatowej konferencji nauczycieli i nie mogłam tego przeboleć. Leżąc kilka tygodni w łóżku układałam w marzeniach to nowe życie w Polsce Ludowej, pracę nowej szkoły.

Pierwszy Zjazd Nauczycielski w Łodzi, którego byłam uczestnikiem, wiązał pracę szkoły podziemnej z nowymi zadaniami polskiej szkoły. Jednak nowe władze szkolne starały się to przemilczeć i chciały budować nową szkołę bez uwzględnienia sił tkwiących w podziemnej pracy oświatowej. Owszem, komisje weryfikacyjne przystąpiły do pracy, ale czuło się, że materiał był martwy, że dało to jedynie nikłe efekty materialne, nie wykorzystano żywych ludzi do twórczej pracy oświatowej w Odrodzonej Polsce Ludowej

Z dniem 1 września moja koleżanka, współpracowniczką, Janina Granat, odeszła, sprawy rodzinne zmusiły ją do przeniesienia się do Ćmielowa. Straciłam przyjaciółkę, nie miałam zdrowia, córka kończyła sześć oddziałów. Wszystko to skłaniało mnie do przeniesienia się bliżej rodziny i szkoły średniej. Z bólem serca żegnałam powiat, którego ścieżki tyle razy przedeptałam, który był mi już bliższy niż rodzinny.

W listopadzie 1945 roku, wspólnie z kol. Wojtaszkiem, wystawiałam zaświadczenia z podziemnej pracy oświatowej wszystkim kolegom i koleżankom i tym zamknęłam jeden okres mojego życia, a zaczęłam nowy, który również wcale nie był lekki.

Wspominałam już, że władze oświatowe nie otoczyły należyłą opieką pracy podziemnej, ale czemu ludzie kierujący pracą nie włączyli się do rządzenia krajem, do prowadzenia wytyczonej przez siebie polityki oświatowej? Przecież działalność podziemna, a szczególnie praca oświatowa wymagała działań długofalowych, dopasowanych do warunków przejściowych w czasie okupacji, a następnie pracy w wolnej już ojczyźnie, której wizja nie zniknęła ani na chwilę. Jakże ja ciężko dostałam za to, że swoją orientację polityczną związałam z polityką Rządu Jedności Narodowej, z osobą ministra Wycecha i jego najbliższym otoczeniem. Byli oni moimi przywódcami duchowymi aż do chwili, kiedy sformułowałam własny pogląd na sprawy. W pewnym momencie stanęłam na rozdrożu i nie wiedziałam, w którą stronę iść. Zadawałam sobie pytanie, czy chodziło tylko o zdobycie stanowisk i uważałam, że ludzie z podziemia zdrowi, pełni energii, z odpowiednim przygotowaniem powinni wejść do władz i zająć te stanowiska. Uniknęlibyśmy w ten sposób wielu błędów. Ja osobiście nie miałam żadnych ambicji. Byłam skolatana, chora, bez odpowiednich kwalifikacji. Jedyne moje kwalifikacje to pogarda śmierci i trochę odwagi, co było konieczne do organizowania pracy podziemnej. Na zdobywanie kwalifikacji, co było dostępne, nie miałam zdrowia i możliwości życiowych.

Miałam trochę dokumentów z tajnej pracy oświatowej w powiecie, ale trzymanie ich dotąd uważałabym za stwarzanie pewnego rodzaju stanu konspiracji, a ja takiego stosunku do Polski Ludowej mieć nie mogłam.

Starałam się wszelkimi siłami zasłużyć na zaufanie władz i pracować dla dobra Polski Ludowej, zachowując równocześnie własną osobowość.

Ale były chwile, że nie umiałam się ze wszystkim pogodzić, nie umiałam kłamać, godziłam się z tym, że tak jak wszyscy starsi, jesteśmy mierzwą, która istnieje po to, aby wszyscy młodzi mogli wyciągnąć wszystkie soki ożywcze dla siebie, ale kiedy tę młodzież nastawiano przeciwko nam, kiedy kazali spalać się im w imię wyższej idei, wstydzili się za patriotyzm rodziców idących trochę odmienną drogą do wolności, moja wizja demokratycznej Polski załamywała się. Trudno było się cieszyć, że moja córka, studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, musiała, aby uniknąć konsekwencji ze strony Związku Młodzieży Polskiej, ukrywać tak zwaną złą drogę do wolności jej Ojca, która wiodła szlakiem pustyni irackiej, pustyni afrykańskiej do Monte Cassino i Anglii, że Jej matka, choćby nawet w pewnym sensie zbłądziła, to tylko dlatego, że nie działała na szkodę Polski. Cieszyłam się natomiast, że moja córka mogła skończyć wyższe studia i ona też to umiała ocenić, a przecież przy takim obciążeniu dziedzicznym mogła tego nie osiągnąć.

Oto garść moich wspomnień, może nie wszystkie pozostały w mojej pamięci. Pominęłam może dużo ważnych momentów, trudno wyrwać je z mojej jaźni, tkwią tam głęboko.

Może nie oddałam obrazu walki z okupantem, życia codziennego społeczeństwa powiatu opoczyńskiego, a przynajmniej najbliższego otoczenia, nie opisałam łapanek, rewizji, aresztowań, walki o każdy kęs chleba dla siebie i innych. Odległość czasu tak jak odległość ekranu zamazuje ostrość obrazu.

Przekazując garść tych wspomnień załączam jedyny dokument, jaki mi pozostał z czasów pracy w moim powiecie: pewne dane statystyczne ze szkoły w Lipinach, które mówią wiele, ale nie wszystko o tej naprawdę wspaniałej pracy. Może są wspanialsze pomniki podobnej działalności, może gdzieś była większa grupa ludzi, może rozporządzali większymi środkami materialnymi, ale tak, z gołymi rękami i tylko z sercem gorejącym miłością do Ojczyzny, do polskiego dziecka stworzyć takie dzieło - to niezwykle. Koleżanki w moim mniemaniu zasłużyły na najwyższe odznaczenie, jakim Polska Ludowa może obdarzyć swojego nauczyciela, niezłomnego szermierza oświaty w najtrudniejszych warunkach.

Fragment zaginionego maszynopisu

... We wszystkich prawie pracach towarzyszył mu Edward Milas, który był również niestrudzony i odważny w czynach.

Wszyscy wymienieni w moich wspomnieniach działacze należeli do Stronnictwa Ludowego i pracowali w Batalionach Chłopskich, zorganizowanych na terenie powiatu. Ja wstąpiłam do Stronnictwa Ludowego 4 lipca 1943 roku, w pamiętny dzień śmierci generała Władysława Sikorskiego. Wiadomość o śmierci dotarła do nas natychmiast po wypadku i wstrząsnęła nami głęboko. Przysięgę składałam w tym dniu jeszcze na ręce Delegata Rządu, Stefana Szymańskiego.

Wielką i chyba największą rolę w życiu konspiracyjnym powiatu, odegrał wspomniany już wyżej Gruda (Władysław Głabiński). Już jako prezes Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Opocznie za czasów okupacji, wiele zrobił dla ludności powiatu, jak również dla ruchu oporu w powiecie. Kiedy Niemcy ujawnili jego działalność, wielce szkodliwą dla siebie, postanowili aresztować go. Uratował się ucieczką. Jako spalony przeszedł całkowicie do pracy podziemnej. Ze względu na bezpieczeństwo własne i organizacji musiał bezustannie zmieniać miejsce pobytu. Między innymi przebywał często w moim mieszkaniu, kierując niestrudzenie pracą konspiracyjną. Łatwo nawiązywał kontakt z chłopami, bo sam nim był, ale również z niemniejszą łatwością nawiązywał kontakty z ludźmi z innych środowisk społecznych. Umiał przekonywać, rozkazywać i żądać. Potrafił regulować również niewłaściwe postępowanie niektórych grup partyzanckich. Dziwna wewnętrzna siła cechowała tego człowieka. Działalność Grudy uzupełniał jego szwagier, Sobczyk ze Studzianny. Sobczyk, mimo że już wtedy był niemłody, nie zaważał się przed największymi trudnościami i niebezpieczeństwem; odznaczał się nadzwyczajną rozwagą i rozumem, często pełnił rolę hamulca w zbyt śmiałych i niebezpiecznych przedsięwzięciach Grudy. Z wielkim oddaniem pracowali jako łącznicy Andrzej Chmal z Sobawin, Stefan Kołodziejczyk, i Paweł Głabiński ze Studzianny, brat Grudy, oraz wielu innych.

Jak już wspomniałam, wielu nauczycieli brało udział w walce z Niemcami na różnych frontach, wielu było zamkniętych w oflagach i obozach, wielu chroniło się ucieczką przed aresztowaniem, wielu zginęło w obozach koncentracyjnych, ale ci, którym udało się pozostać przy życiu, w jakimś stopniu włączali się do cichego frontu. W każdej gminie był nauczyciel czy grupa nauczycieli, którzy byli z nami związani, czy to w pracy oświatowej, czy też w BCH, lub AK, AL, itp. W naszej armii cichego frontu w obrębie powiatu czuliśmy się jedną rodziną, której cele i zadania były zespolone. Nie było granicy, gdzie się zaczyna praca Komisji Oświatowej, gdzie Delegatury Rządu, gdzie Stronnictwa Ludowego czy BCH. Mieliśmy jeden cel odzyskanie Wolnej Polski. Nie było nam obojętne, jaka ta Polska ma być. Chcieliśmy mieć Polskę sprawiedliwą, ludową, a nie dawną obszarniczą. Często obok twardej, nadludzkiej pracy, czasem walki, oddawaliśmy się marzeniom, z wiarą śniliśmy o Polsce, która da wszystkim szczęście w pracy na wszystkich odcinkach. Nie izolowaliśmy się w obrębie powiatu, ale utrzymywaliśmy

ściły kontakt z innymi powiatami, a szczególnie z powiatem koneckim. Z różnych więc stron, a przede wszystkim z Warszawy i Łodzi prowadziły drogi do tej chaty za wsią, gdzie były rozpracowywane najrozmaitsze problemy. Ja również kontaktowałam się z prezesem Zarządu ZNP w Łodzi i przyjął na jakiś czas obowiązki prezesa Zarządu Powiatowego ZNP w Opcznie.

Komendantem korpusu bezpieczeństwa z ramienia Delegatury Rządu był nauczyciel, który przybył na teren powiatu z Lubelskiego pod zmienionym nazwiskiem Juszczyk i pod pseudonimem „Kruk”. W dzień był zatrudniony przez firmę niemiecką przy kopaniu pieńków w lesie koło Brzuzy i to mu ułatwiało kontakt z chłopcami z lasu w pracy konspiracyjnej.



ŻYCIORYS FRANCISZKI CHAŁUBIŃSKIEJ

Franciszka Chałubińska (z domu Lewandowska) urodziła się 18 maja 1906 w Smolentach, w powiecie gostynińskim, województwie warszawskim, w wielodzietnej rodzinie chłopskiej. Miała trzy siostry i sześciu braci.

Naukę rozpoczęła w roku 1915 w szkole w Smolentach, która została zorganizowana w czasie pierwszej wojnie światowej w jej rodzinnym domu.

W roku 1918 skończyła szkołę, która miała tylko trzy oddziały. W styczniu 1919 roku zdała egzamin do drugiej klasy czteroklasowego progimnazjum w Gąbinie. W roku szkolnym 1919/1920 złożyła egzamin do czwartej klasy ośmioklasowego Państwowego Gimnazjum im. Narcyzy Żmichowskiej w Gostyninie.

Po skończeniu szóstej klasy gimnazjum w styczniu 1925 roku rozpoczęła trzymiesięczny kurs metodyczno-pedagogiczny w Łowiczu i jeszcze w czasie jego trwania, w dniu 15 marca 1925 roku otrzymała nominację na nauczycielkę w Beźniku w gminie Skrzyńsko, w powiecie opoczyńskim. W tymże powiecie przepracowała łącznie 20 i pół roku w następujących kolejno miejscowościach:

- Szkoła Powszechna w Beźniku gm. Skrzyńsko od 15.III 1925 do 1. XII. 1927,
- Szkoła Powszechna w Zychorzynie gm. Goździków od 1.XII. 1927 do 1. IX. 1928
- Szkoła Podstawowa w Straszowej Woli gm. Topolice od 1.IX. 1928 do 1. IX. 1929.

Franciszka Chałubińska w czasie pierwszych lat nauczania uzupełniała swoje pedagogiczne wykształcenie. W roku 1926 złożyła drugi egzamin metodyczno-pedagogiczny w Radomiu, co dawało kwalifikacje do pełnienia obowiązków tymczasowego nauczyciela w wymiarze 30godzin tygodniowo. W roku 1930 zdała w swojej szkole egzamin praktyczny na nauczyciela publicznych szkół powszechnych i otrzymała dekret ustalenia zawodowego. W 1931 roku powierzono Jej obowiązki p. o. kierownika szkoły w Libiszowie. W styczniu 1934 roku Franciszka Lewandowska wyszła za mąż za Józefa Chałubińskiego, w październiku tegoż roku urodziła córkę Annę Elizę, a kierownikiem szkoły w Libiszowie został Józef Chałubiński.

W maju 1938 roku otrzymała od Kuratora Okręgu Krakowskiego brązowy medal za długoletnią pracę.

Od maja 1934 należała do Związku Nauczycielstwa Polskiego.

W 1939 roku po mobilizacji Męża do wojska Franciszka Chałubińska znów objęła obowiązki kierownika szkoły. W czasie okupacji pracowała najpierw w tajnym, niezorganizowanym szkolnictwie, a od maja 1942 roku w Powiatowej Tajnej Komisji Oświatowej kierowanej przez TON (Tajna Organizacja Nauczycielska) podlegającej Delegaturze Rządu (londyńskiego) na Kraj, najpierw jako członek, później w 1944 i 1945 roku jako przewodnicząca. Pracowała również dla PCK i w RGO (Radzie Głównej Opiekuńczej), zwłaszcza w czasie od października do grudnia 1944 roku, kiedy we wsi pojawili się uciekierzy z Warszawy.

W czasie wojny Franciszka Chałubińska (pseudonim „Teresa”) należała do tajnego Stronnictwa Ludowego i Batalionów Chłopskich. Rozkazem Komendy Głównej Batalionów Chłopskich nr 5 Pers. z dnia 30 maja 1944 roku została awansowana do stopnia porucznika. Zachowało się zaświadczenie o tym fakcie podpisane w Warszawie w dn. 18 września przez Pełnomocnika Ruchu Ludowego, b. Szefa Sztabu K.G.B.CH, Kazimierza Banacha i Komendanta Głównego B.Ch., Franciszka Kamińskiego. W październiku 1945 roku zarejestrowała się w Komisji Rejestracyjnej byłych członków BCH w Łodzi (nr rej. 103).

1 lutego 1945 roku objęła obowiązki kierownika publicznej szkoły powszechnej w Libiszowie; mianowanie podpisał Inspektor Szkolny Obwodu Opoczyńskiego. 15 września 1945 roku Franciszka Chałubińska przeniosła się do Szkoły Podstawowej nr 2 w Żychlinie, pow. Kutno, a od roku 1949 do Szkoły Podstawowej nr 1. W tych szkołach uczyła matematyki, fizyki i chemii. W roku 1959 przeniosła się do jedenastoletniej Ogólnokształcącej Szkoły w Żychlinie, gdzie objęła opiekę nad biblioteką szkolną. Aby uzyskać potrzebne do tego kwalifikacje, ukończyła w 1965 roku półtoraroczny specjalistyczny kurs w Łodzi zorganizowany przez Państwowy Ośrodek Kształcenia Korespondencyjnego Bibliotekarzy i zdała egzamin przed

Państwową Komisją Egzaminacyjną powołaną przez Ministra Kultury i Sztuki. Wcześniej, w 1947 roku uczestniczyła w Centralnym Kursie Wakacyjnym dla nauczycieli wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, a w 1953 roku ukończyła Centralny Kurs Wakacyjny dla instruktorów matematyki w Lęborku. W 1951 i 1952 roku zdawała obowiązkowe wówczas kolokwia „z zakresu wiadomości objętych programem samokształcenia ideologicznego” przed Okręgową Komisją Kolokwialną ZNP.

Po wojnie należała do PSL, a po jego likwidacji pozostała bezpartyjna. Od 1945 roku bez przerwy pełniła różne funkcje w Zarządzie Ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego: skarbnika, zastępcy przewodniczącego, przewodniczącej. Przez wiele lat była członkiem Zarządu Powiatowego ZNP w Kutnie. Była radną Miejskiej Rady Narodowej w Żychlinie. W styczniu 1957 roku została powołana w skład Komisji Rehabilitacyjnej przez Wydział Oświaty w Kutnie. Przez wiele lat była członkiem Rady Nadzorczej Spółdzielni Spożywców. W 1959 roku została wyróżniona Odznaką Działacza Ruchu Spółdzielczego. W marcu 1954 otrzymała medal Dziesięciolecia Polski Ludowej.

!6 maja 1957 roku została powołana przez Sąd powiatowy w Kutnie na stanowisko inspektora społecznego Przy Sądzie Powiatowym w Kutnie (praca polegała na kontaktach z osieroconymi dziećmi oraz na badaniu warunków życia dzieci w rodzinach, którym ograniczono lub zabrano prawa rodzicielskie).

W 1964 roku przeszła na emeryturę i pracowała dodatkowo na ½ etatu w Liceum Ogólnokształcącym w Żychlinie w charakterze bibliotekarki szkolnej.

W listopadzie 1969 roku otrzymała w Belwederze Krzyż Kawalerski za swoją pracę nauczycielską i tajne nauczanie w czasie okupacji.

Umarła w Klinice Wojskowej w Łodzi po nieudanej operacji mózgu w wieku 63 lat. Miesiąc później zmarł jej Mąż w Szpitalu w Kaliszu. Pochowani zostali na Cmentarzu Komunalnym w Żychlinie.

(Biogram powstał na podstawie życiorysu sporządzonego przez Franciszkę Chałubińską oraz dokumentów)

KOMENTARZ ANNY SZURCZAK, CÓRKI
FRANCISZKI I JÓZEFA CHAŁUBIŃSKICH (opracowany w 2006 r.)

Mama napisała wspomnienia na moją prośbę około roku 1967. Zostawiła je w dwóch wersjach brudnopisowych. Wersja I jest wcześniejsza, bardziej obszerna i bardziej dramatyczna, zawiera sporo skreśleń. Wersja II, późniejsza jest krótsza, bardziej umiarkowana w tonie i zawiera uzupełnienia. Nosi tytuł „Chata za wsią”. W tym tekście połączyłam obie wersje. Nie zdążyłam tych wspomnień z Mamą przedyskutować, nie żyje nikt, kto mógłby je uzupełnić czy coś wyjaśnić. Znalazłam jedną stronę (szóstą) maszynopisu, co świadczy o tym, że na podstawie tych rękopisów, a pewnie trzeciej, znacznie pełniejszej ich wersji, powstał maszynopis, o czym nie wiedziałam. Być może został komuś oddany, wysłany do publikacji, a nawet opublikowany. Zachowało się pismo Franciszka Kuryłły, Przewodniczącego Rady Wychowania Dzielnicowego Frontu Jedności Narodowej w Łodzi, które zapraszało Mamę do przygotowania materiału o swojej pracy w tajnym nauczaniu z dnia 21 kwietnia 1967 roku. Mama miała nadesłać odpowiedź na adres wiceprzewodniczącej Rady, Mieczysławy Kowalskiej. Referat miał być wygłoszony w lokalu zarządu Okręgu ZNP w Łodzi, nagrany na taśmę magnetofonową i umieszczony w muzeum fonograficznym. Niestety, nic nie wiem o tej sprawie. Maszynopis mógł zaginąć w czasie likwidacji mieszkania, następnego dnia po pogrzebie Ojca w styczniu 1970 roku. Wówczas musiałam wszystko spakować w ciągu pół dnia i wrócić do Kalisza, do pracy i dzieci. Po miesiącu rzeczy po Rodzicach, głównie książki zostały przywiezione z Żychlina do Kalisza i ulokowane czasowo w domu Teściów. Zachowany fragment jest obszernym rozwinięciem rękopisów i świadczy o zamiarze publikacji.

Ojciec, także proszony przeze mnie o zapis swoich wspomnień, niestety ich nie zostawił, chociaż pisał znacznie częściej od Mamy, a więc nie sam trud pisania stał na przeszkodzie, ale – jak sądzę – niemożność opisania faktów, które nie były jeszcze uznane za cenzuralne. W tym czasie szczerzy zapis losów i przeżyć żołnierza Brygady Karpackiej i „andersowca” był niemożliwy. Wiem, że Ojciec sporo opowiadał o swoich losach młodzieży w Liceum w Żychlinie, gdzie był nauczycielem. Jego pogrzeb w styczniu 1970 roku był pogrzebem bohatera, „kawalera Gwiazdy Afryki” i „Gwiazdy Italii”, uczestnika wojny 1939 -1945, nauczyciela Liceum Ogólnokształcącego w Żychlinie, jak głosiły ręcznie napisane wielkie nekrologi, rozwieszane w mieście, które powstały bez mojej wiedzy. Nie było mnie wówczas w Żychlinie, nie znałam uczniów ani oni mnie. Męska młodzież Liceum szła w kondukcje w niebieskich beretach i mimo wielkiego mrozu (-26) chłopcy nieśli trumnę z kościoła na cmentarz, a karawan jechał pusty.

Sądzę, że Mama również stosowała autocenzurę ze względu na bezpieczeństwo swoje, nasze i ludzi, o których pisała. Około roku 1968 sytuacja polityczna była bardzo mroczna, rodzice żyli przez wiele lat, szczególnie do roku 1956, z perspektywą rewizji i aresztowania. Wspomnienia Mamy są pełne bólu, goryczy, rozczarowania. Mama czuła się na indeksie, nie mogła być aktywna tak jak wcześniej, bo nie było takich możliwości i nikt tego od niej nie oczekiwał. Czasy się zmieniły. Rodzice byli „państwowcami” i trudno im było – zwłaszcza Mamie- ograniczyć aprobatę dla państwa, zaufanie do władz i wycofać się na wewnętrzną emigrację, właśnie dlatego że Mama miała poglądy lewicowe, a Polska Ludowa teoretycznie spełniała wiele postulatów przedwojennych ludowców. Nie wiem, na ile Mama zdawała sobie sprawę, w jakiej Polsce żyje. Może nawet nie wiedziała, do jakiego stopnia okupacyjne podziemie traktowane było nieufnie, odsuwane i prześladowane, jak prowadzono bezpardonową, a nawet krwawą walkę zwłaszcza z byłymi członkami AK i BCH, z PSL-em, do którego po wojnie należała (współczesny PSL nie ma poza nazwą nic wspólnego z tym dawnym PSL-em, który był również partią lewicującej inteligencji, jedyną autentycznie opozycyjną siłą po wojnie). Nowe władze instruowane przez NKWD umiejętnie rozbijały jedność skonsolidowanych środowisk, rozsiewały niepokój i dezorientację. Najważniejsze fakty z okresu wojny były przemilczane, do 1956 roku enigmatycznie mówiono o „ruchu oporu”, wskazywano tylko pojedyncze przykłady walki z wrogiem AL. i GL. AK, z którym BCH było skonfederowane, nazywano „zapłutym karłem

reakcji”, konspiratorów i partyzantów więziono, katowano, skazywano na śmierć lub wysyłano do łagrów w Związku Radzieckim. Wtedy ludzie nie ogarniali intelektualnie sytuacji, nie wiedzieli, nie rozumieli, nie mieli informacji, to wszystko dopiero stawało się. To dopiero teraz, po ponad czterdziestu latach, dowiadujemy się powoli, jak było, i jakoś ogarniamy całość. Sądzę, że właśnie plakat z „zapłutym karłem reakcji” miał wielki wpływ na moją podświadomość.

Wiedziałam, że jest to kłamstwo i wielka krzywda wobec ludzi podziemia, których sama w czasie wojny widziałam, dlatego też mimo pięknych, radosnych masowych pieśni, które wkrótce, płynąc z radia i ulicznych głośników, miały nawoływać do aprobaty nowego ustroju, byłam ostrożna i nie angażowałam się zanadto w jego budowę.

Wujek Janek Lewandowski, który pomógł Mamie w przeprowadzce z Libiszowa do Żychlina, był mocno rozpolitykowany, kandydował wówczas na posła do sejmu. Pamiętam, jak denerwował się na postępowanie Dąb Kocioła (działacza SL-u, który powoli przechodził na drugą stronę). W czasie referendum, kiedy to pojawiły się wszędzie napisy na murach i plakaty nawołujące do głosowania „Trzy razy tak”, Wujek mocno się angażował w opozycyjną akcję PSL-u „trzy razy nie”. Pamiętam, że ustawił mnie z ulotkami przed kościołem paulinów w Oporowie, z czego byłam bardzo niezadowolona, bo wstydziłam się ludziom wciskać te ulotki, a poza tym miałam już własne poglądy polityczne i logicznie uważałam, że powinno się odpowiadać przynajmniej dwa razy tak. Rodzice i tak mieli wiele szczęścia. Ich i moje losy mogły się w Polsce Ludowej potoczyć dużo gorzej, nawet bardzo źle, choćby z powodu tej radiostacji, która rzeczywiście była przewieziona z Libiszowa do Jurkowa razem z naszymi rzeczami, bo wtedy wszystko było cenne. Dobrze ją pamiętam, bawiłam się przy niej, miała rozmaite przyciski i czerwone druciki, bawiłam się także łuskami od nabożów, innych zabawek nie miałam. Ciocia Natalia postawiła sobie tę radiostację w pokoju, na niej położyła serwetkę, a na serwetce doniczkę. W czasie rewizji oczywiście to zobaczono. Zanosilo się na wielką szpiegowską aferę. Wszak UB czerpała rady i wzory od NKWD, które wszędzie dostrzegało szpiega, a tutaj znaleziono oczywisty rzeczowy dowód. Myślę, że sprawa ta przerosła kompetencje UB w Kutnie i chociaż informacja do gazet o rodzeństwie szpiegów już poszła, zapadła decyzja, aby sprawę uciąć. Ciekawe, czy gdzieś w aktach jest ślad tej historii.

To, że Mama nie miała świadomości, co się tak naprawdę dzieje, jak podstępnie zdobywana jest władza, nie jest kwestią tylko Jej naiwności. Z powodu choroby i przeprowadzki, a następnie ciężkiej pracy i zabiegów o fizyczne przetrwanie, straciła kontakt z ludźmi z konspiracji, którzy także musieli się obawiać uwięzienia, byli zastraszeni, wycieńczeni głodem i chorobami, spauperyzowani. Mama ujawniła swoją przynależność do BCH bardzo późno, w październiku 1945 roku, po lipcowej amnestii. Pewnie długo się wahała, co ma robić. Jej autorytet, Czesław Wycech, wojenny przywódca Tajnej Organizacji Nauczycielskiej i przedstawiciel przedwojennego Stronnictwa Ludowego, poddany ciśnieniu politycznemu i postawiony właściwie w sytuacji bez wyjścia stawał się powoli kimś innym (minister oświaty w Rządzie Jedności Narodowej Mikołajczyka, prezes ZNP, długoletni marszałek sejmu, członek Rady Państwa został także z czasem długoletnim prezesem TPPR). Wiadomości z oficjalnych gazet i radia były krańcowo zakłamane i bałamutne, zwłaszcza po 1948 roku. Cała ideologia Nowej Wiary była pewnie dla Mamy niezrozumiałym absurdem. Zdobywanie informacji od radia Madryt, Głosu Ameryki i potem Wolnej Europy wymagały niesłychanego poświęcenia, tak były zagłuszane. Tata systematycznie słuchał całe wieczory radia, zagłuszarki ryczały, nic z tego nie rozumiałam, docierały do nas jakieś strzępy wiedzy. To nieprawda, że ludzie wtedy dzielili się na komunistów i antykomunistów, jak się teraz uważa i nawet jak napisał Jan Paweł II w ostatniej swojej książce „Pamięć i tożsamość”. Postawy ludzkie były znacznie bardziej zróżnicowane. To zależało od biografii, regionu (inaczej władze zachowywały się na wschód od Wisły, gdzie AK-owców i nie tylko wywożono do łagrów, a inaczej w Polsce centralnej, gdzie aresztowano po cichu, a część – jak na przykład Mamę - zostawiano w mniejszym lub większym spokoju) osobistych lub rodzinnych doświadczeń. W tym czasie ludzie nie wiedzieli, czym jest manipulacja, indoktrynacja, populizm, nie wierzono, że można posługiwać się tak wielkim kłamstwem. Często właśnie ci szlachetni dali się uwieść głoszonym hasłom, a cynicy, bezmyślni

lub obojętni mieli rację. Lewicowcom (PPS, SL) trudniej było się odcinać od komunistycznych haseł. Pozornie chcieli tego samego. Mama chyba intuicyjnie miała niechętny stosunek do PPR i potem PZPR, ale Rodzice nie narzucali mi swoich poglądów.

Wrzesień 1939 roku diametralnie zmienił sytuację naszej rodziny. Przed wojną mieszkaliśmy w Libiszowie w relatywnie zamożnym domu, w którym było radio, książki, meble, huculskie kilimy, żyrandol z gazową lampą, porcelana, albumy z fotografiami. Ojciec miał rower, który wówczas znaczył więcej niż dziś samochód, woził mnie na nim często. Ksiądz wikary prawie codziennie przychodził do nas na preferans (Jan Malinowski wspomniany przez Melchiora Wańkowicza w książce o bitwie pod Monte Cassino jako bohaterski kapelan.) Rodzice często wyjeżdżali wolantem czy jakąś bryczką, którą przysyłano po Nich z dworu Drużbackich w Zameczku oraz dworu w Kraśnicy, gdzie udzielali lekcji dzieciom, a potem zostawali na kolacji i znów byli odwożeni. Często bywali w Opocznie, nawet na jakichś balach w Domu Esterki. Ja pozostawałam w domu pod opieką niańki Józji i służącej Maryśki. Nasz ogród wydawał mi się wręcz zaczarowany. Były w nim hodowane przez Ojca kwiaty, drzewa i krzewy.

Moje pierwsze wspomnienia związane są z wybuchem wojny. Słoneczne wrześniowe dni przeżyłam w sposób świadomy. Pamiętam, jak ukochany Tata, porucznik rezerwy, zmobilizowany rozkazem dowództwa, odchodził na wojnę. Nie miałam jeszcze pięciu lat, ale chyba dobrze rozumiałam, o co chodzi, bo nad nami latały już niemieckie samoloty, słychać było huk armat, „niebo waliło się z trzaskiem”. Pamiętam dokładnie tę chwilę i to miejsce naszego pożegnania, przed domem w Libiszowie. Tata odszedł z mojego życia na prawie dziewięć lat.

W domu było pełno ludzi, a potem – tak jak cała Polska – uciekałyśmy z Mamą bez sensu razem z innymi ludźmi przed siebie, w panice, bo jeszcze nigdy tak nie było, żeby nawet niebo było przeciw nam. Byliśmy za Międzyborzem, przed Zameczkiem, kiedy nadleciały myśliwce i bombowce. Ukryliśmy się pod małutkimi sosenkami, za małymi nawet dla mnie. Nadleciał myśliwiec i zniżył lot tak, że widziałam dokładnie twarz pilota, a on jeszcze lepiej widział nas. Pokrążył nad nami i odleciał w górę razem z bombowcami. Pewnie skonstatował, że nie jesteśmy polskimi żołnierzami. A ja w tym momencie dojrzałam, postarzałam się przynajmniej o 10 lat. Wiedziałam, co on za chwilę nam zrobi. Ale nie zrobił. Tułaliśmy się do wieczora po okolicy. Pamiętam cudzą stodołę, ja sama między ludźmi w letniej sukience na klepisku bez niczego do przykrycia i niczego pod głową. Do tego, że Mama była nie tylko moja, ale opiekowała się wszystkimi, byłam przyzwyczajona. Było mi twardo, niewygodnie, źle, ale jakoś w końcu zasnęłam. Wprawdzie krótko, jednak byłyśmy wrześniowymi uchodźcami. (Ten lęk przed hukami i grzmotami można zrozumieć bardziej, gdy się uświadomi, że ludzie w tych latach bali się zwykłej burzy z piorunami tak bardzo, że ubierali się, pakowali i byli gotowi do ucieczki, także w nocy. Było to całkowicie uzasadnione. Pioruny wówczas zabijały, sieć straży pożarnej nie była rozwinięta, a w Opoczyńskim, gdzie były niewielkie złoża rudy żelaznej, pożary zdarzały się często. Nocą tony płonących chat były dobrze widoczne, paliło się w kilku miejscach. Nie uważaliśmy tego za przesady. Też ubierałyśmy się nocą w czasie burzy.)

Bliskie odgłosy wojny od strony Tomaszowa i Piotrkowa były echem walki odwodowej armii Prusy, która broniła dostępu do Warszawy.

Pamiętam polskich oficerów, w mundurach z dystynkcjami, którzy siedzą u nas w pokoju w promieniach zachodzącego słońca. Chyba nie byli to uciekinierzy tylko żołnierze Hubala. Może wtedy Mama oddała Im swoje radio? (W czasie, kiedy Mama spisywała swoje wspomnienia, jeszcze nie mówiło się o Hubalu jako o bohaterze, była to postać nieznaną.). Wieś, która uległa pacyfikacji za pomoc Hubalowi, o czym Mama wspomina, to Huciska. Stanisław Dobrzański „Hubal” zginął w Anielinie koło Studzianny 30 kwietnia 1940 roku. Miał podobno wielkie wyrzuty sumienia za los ludzi z Hucisk, przecież nie mógł przewidzieć tego, że wojna będzie tak okrutna i niecywilizowana. Do zlikwidowania Hubala i jego trzystu ludzi Niemcy użyli ośmiu tysięcy żołnierzy. Oddział „Szalonego majora” spotkał się z aprobatą miejscowej ludności. Pomagano mu w zaopatrzeniu, zbieraniu informacji, rozpoznaniu terenu. Późniejsza działalność konspiracyjna w okolicy Studzianny miała niewątpliwie związek z aspiracjami niepodległościowymi rozbudżonymi przez oddział hubalczyków.

Po jakimś czasie Ojciec, wzięty do niewoli niemieckiej pod Stanisławowem, znalazł się w obozie jenieckim w Jolsvie koło Miskolca. Przysyłał nam stamtąd piękne kartki z nagłówkami „Najukochańsza Fredziu!”, „Najukochańsza Córeczko!”; niektóre z nich dochodziły. Dotąd zachowałam siedem, ostatnia z Jolsvy jest z 5 maja i zapowiada możliwą przerwę w korespondencji. Dwie następne z 8 maja są już z Budapesztu, gdzie Tata spotkał znajomych, między innymi wesołego księdza Jana Malinowskiego. Tata więc uciekł z obozu, co nie było takie proste, niektórzy w węgierskich oflagach przeżyli do roku 1945. Przez Jugosławię, Grecję dotarł do Syrii, bo Francja, gdzie organizowało się polskie wojsko, w czerwcu 1940 roku skapitulowała przed Niemcami. W Syrii znalazł się w Brygadzie Karpackiej generała Władysława Kopańskiego, następnie był w Libii, Egipcie, Palestynie, Iraku, Libanie, Włoszech i Anglii. My już o tym nic nie wiedziałyśmy. Dostałyśmy ze trzy paczki z rodzynkami i migdałami z Ankary od Tureckiego Półksiężycy. Był to znak, że Tata żyje.

(Nic mi nie wiadomo o możliwościach wyjazdu Mamy w czasie wojny do Ojca na Węgry, gdzie był internowany. Owszem, taka możliwość pojawiła się w 1946 roku, kiedy Tata nawiązał z nami kontakt. Byłaby to wyprawa trudna, ryzykowna (przeprawa przez góry). Mama była ciężko chora, a ja nie chciałam. Po utracie domu w Libiszowie przywiązałam się już do chaty i ogrodu Cioci w Zleszynie.)

Mama była w dalszym ciągu nauczycielką w Libiszowie. Zachował się Jej „ausweis”, „Personalausweis für Nichtdeutsche” wydany dla „Lehrerin Franciszki Chałubińskiej im Distrikt Radom”, co dawało pewne bezpieczeństwo, np. możliwość poruszania się po okolicy. Warto pamiętać, że kiedy zaczynała się wojna, miała 33 lata, a kiedy kończyła, niecałe 39. Ojciec musiał opuścić dom i kraj, mając 36 lat; wrócił w wieku lat 44.

Często myślę, o tym, jak Mamie zawałił się świat we wrześniu 1939 roku. Zniknęło państwo, Mąż, poczucie bezpieczeństwa i materialne podstawy egzystencji. Z dnia na dzień właściwie, okazało się, że jest sama, odpowiedzialna niemal za to, co się stało w ukochanym kraju, odpowiedzialna za mnie i wobec ludzi we wsi. Skończyły się przyzwoite warunki życiowe, nie było co jeść. Służąca Maryśka musiała odejść, wokół byli obcy lub niechętni ludzie i narodowa tragedia. To może tłumaczyć Jej wspomnienie, że w 1939 roku była pełna gniewu na polskich żołnierzy za bierną postawę wobec wroga. Pewnie ta reakcja była wyrazem szoku, jaki przeżyła i gorzkiego poczucia bezradności.

Libiszów był dużą wsią położoną sześć kilometrów na północ od Opoczna w kierunku lasów spalskich (Puszczy Pilickiej). Mieszkałyśmy tu w budynku szkolnym składającym się z dwóch klas i małego korytarzyka oraz naszego mieszkania: dwóch pokoi z kuchnią, sieni i ganku. Obok naszego podwórka było duże boisko szkolne i dopiero za nim studnia. Do szkoły należał hektar ziemi, na jej części Ojciec założył duży sad i ogród, co było wówczas dużą rzadkością. Mieliśmy 20 jabłonek, 10 wiśni, czereśnię, truskawki, maliny, agrest i porzeczki. Tatuś hodował dalej, astry, lwie paszcze, nasturcje, aksamitki i nagietki.

Wieś była bardzo uboga, ziemie tu były piaszczyste, nieurodzajne. Pola dzielono na tak wąskie zagony, że je z łatwością przeskakiwałam. Uprawiano żyto (wyrastało niskie, rzadkie), ziemniaki, proso, jęczmień i tatarkę oraz łubin i len. Trzeba pamiętać, że to były czasy, kiedy nie znano jeszcze nawozów sztucznych. Poza kapustą i gruszkami ulęgalkami, które dziko rosły na miedzach, ludzie nie znali żadnych warzyw ani owoców. Hodowano krowy i owce. Ubrania sporządzali sobie sami z własnego lnu i wełny. Sytuacja materialna wsi pogorszyła się drastycznie w czasie wojny z powodu kontyngentów, jakie chłopcy musieli oddawać Niemcom. Na przednówku często głodowano, żywiono się zupą z lebiody. Dzieci pasły krowy na wspólnym pastwisku za wsią. Chaty zamykano tylko na drewniany skobel, zatyczkę łatwą do zdjęcia przez każdego. Przy studni był zawsze kubek, z którego każdy przechodzący mógł się napić wody. Domy były drewniane, niektóre pobielone wapnem z domieszką niebieskiej farбки. Stały bokiem do drogi. Była w nich izba świąteczna i niewielka kuchnia, gdzie koncentrowało się życie rodziny. W izbie świątecznej stało starannie zasłane duże łóżko z wielką wykrochmaloną poduszką na wierzchu. Pod oknem był niewielki stół, na którym przeważnie znajdowała się duża figura Matki Boskiej. Na ścianach wisały święte obrazy.

Mimo tej biedy rozwijała się kultura ludowa, a przejawiała się ona w kultywowaniu obrzędów i tradycji, w pięknych strojach („wełniaki” dla kobiet i sukmany dla mężczyzn), w zamiłowaniu do śpiewów, tańców i żartów. Jeszcze jako bardzo małe dziecko uczestniczyłam w zabawach ludowych, bo w czasie wyjazdów Rodziców do Opoczna na przyjęcia czy też bale Maryśka i Józka szły sobie na wieś, oczywiście bez wiedzy Mamy i Taty. One „hulały”, czyli tańczyły, a mnie podawano sobie z rąk do rąk. Zachowałam zdjęcie chóru kościelnego w Libiszowie, na którym dziewczyny są w świątecznych wełniakach i koszulach z wykrochmalonymi, haftowanymi rękawami, fartuchach i kunsztownie zawiązanych chustkach na głowie. Panna młoda przed ślubem musiała mieć w posagu cztery wełniaki: od wielkiego święta, na niedzielę, „na porywkę” i codzienny. W zimniejsze dni kobiety okrywały się zapaskami. Wzory i kolory były tradycyjne, po nich poznawało się, z jakiej wsi pochodzi kobieta czy dziewczyna. Przywiązywano wielką wagę do kolorów, np. wyodrębniano kolor zielony, ale również dwa razy zielony, zieleziwy i zielonkowy. Ludzie mieli wewnętrzną potrzebę śpiewania i ciągle to czynili. Wielokrotnie widziałam, jak szła dziewczyna drogą i śpiewała, chłopak pędził drogą krowę i śpiewał na cały głos. Pamiętam, jak w kościele na nieszporach śpiewano godzinki. Rozpocynały cienkim, nieco piskliwym głosem, „baby” zebrane po prawej stronie, czyli „po lewicy” księdza: „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą, a chłopcy z lewej basem dodawali: „Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą”. I znów baby podejmowały: „Jak było na początku i zawsze i ninie”, a chłopcy: „Niech Duch Święty Jedyny na wiek wieków słynie”. Na Wielkanoc chodzili chłopcy „po dyngusie” i zbierali dary w formie jajek czy innych świątecznych przysmaków. Powstały później zespół „Mazowsze” opierał się głównie na folklorze opoczyńskim. Wychowałam się w dużym szacunku do ludzi ze wsi i bardzo długo byłam zafascynowana opoczyńską kulturą. Byłam dwujęzyczna, mówiłam także gwarą. Po studiach zamierałam opisać opoczyński folklor, zapamiętane piosenki, obyczaje, np. weselne. Teraz już prawie wszystko zapomniałam.

Co niedziela chodziłyśmy wszystkie na mszę do kościoła. To było bardzo śmieszne, bo za nami snuły się nasze zwierzęta: pies Misio, kot, koza i jakaś kura.

Jestem wdzięczna Rodzicom za to, że miałam piękne dzieciństwo, a w latach wojny nie zaznałam (lub nie czułam) głodu, poniewierki, strachu, a zawdzięczam to Mamie, „Cioci” Janinie Granat i mojej siostrze ciotecznej Zosi, które otoczyły mnie opieką, wychowywały, żywiły, a swym taktem i spokojem oraz otwarciem na innych ludzi, także zupełnie obcych, sprawiły, że rosłam w poczuciu bezpieczeństwa i zaufania do świata, w którym tylko Niemcy byli złymi ludźmi. Brakowało mi książek, a czytać nauczyłam się chyba na początku wojny, nie wiadomo od kogo i z czego (Mama nie wiedziała), ale i te z czasem dostawałam z biblioteki dworskiej w Zameczku u Drużbackich, a nawet mi je kupowano. Nie wolno było wydawać polskich książek i prasy, a jednak się one jakoś ukazywały. Rodzice mieli tylko literaturę fachową, dwudziestotomową encyklopedię Gutenberga, kilka tomów „Wielkiej geografii ilustrowanej” i „Wielkiej przyrody”. To wszystko razem z porcelaną zostało na pięć lat zakopane w ziemi pod czereśnią. Był to pomysł Cioci, która miała bogate doświadczenia życiowe, jako że rewolucję bolszewicką przeżyła, będąc dzieckiem, w Rosji. Ciocia znała biegle niemiecki i rosyjski, co się potem bardzo przydało. Mnie jednak uczyła tylko początków francuskiego, bo nie chciała uczyć „języków wroga”, oraz gry na skrzypcach.

W 1940 roku, a więc gdy nie skończyłam jeszcze sześciu lat, sama podjęłam decyzję o pójściu do szkoły, bo to było bardzo proste. Spakowałam się, nacisnęłam klamkę i z naszego pokoju przeszłam do klasy. Pamiętam obowiązkowe piśmko „Ster” wydawane oficjalnie w Generalnej Guberni, które miało zastąpić podręczniki chociaż było jednakowe dla wszystkich klas. Uczyłam się także zakazanej geografii Polski. Pamiętam podział na Karpaty Zachodnie i Karpaty Wschodnie: Bieszczady, Gorgany i Czarnohora, rzeki Prut, Czeremosz, Seret i Dniestr oraz wszystkie dopływy Wisły i wszystkie rzeki Europy: Gwadalkiwir, Gwadiana, Tag, Duero, Loara, Sekwana, Moza Ren, Wezera...”, i jest to dowód, że w jakimś stopniu byłam objęta tajnym nauczaniem, bo przecież geografia była zakazana. To nauczanie nie było chyba u nas tak bardzo otoczone konspiracją. Myślę, że Mama i Ciocia nie obawiały się, że ktoś ze wsi może

donieść o tym na gestapo. Uczyły więc na lekcjach, tych lepszych uczniów osobno, w klasie lub w domu, zależnie od sytuacji i temperatury pomieszczenia. Nie było szkolnej biblioteki, bo trzeba ją było oddać w 1939 roku władzom niemieckim. Mama oddała tylko bezwartościową część, a resztę chyba rozdała uczniom. Nie pamiętam żadnych podręczników, może coś było; ich znalezienie w czasie rewizji mogło grozić największymi represjami. Zachowały się w szkole mapy Polski, Europy i świata oraz poczet królów polskich. Lubiłam na nie patrzeć i wiele się chyba z tego nauczyłam. W domu był rocznik przedwojennego „Płomyka” poświęconego orłętom lwowskim, Piłsudskiemu, pułkownikowi Kuli – Lisowi oraz śpiewnik piosenek legionowych. Moje wyobrażenia o ojczyźnie miały charakter mocno wschodni i potem ta nowa Polska po 1945 wydawała mi się obca. Ten „Płomyk”, tomy „Oświaty i Wychowania” i czasopisma „Pion” oraz wiele książek znajdujących się w domu były starannie oprawione przez Ojca, który w Seminarium Nauczycielskim w Jędrzejowie nauczył się introligatorstwa. Chociaż do szkoły chodziłam teoretycznie pięć lat, to jednak mało z tego pamiętam i myślę, że więcej się sama nauczyłam niż w szkole. Do szkoły chodziłam rzadko, bo jesienią dzieci były zajęte pilnowaniem bydła, zimą mrozy sięgały -40 stopni oraz były wielkie śniegi, co łącznie z brakiem opału nie pozwalało na prowadzenie zajęć. W naszym mieszkaniu szyby w podwójnych oknach były gęsto pokryte mroźnymi wzorami. Żeby cokolwiek przez nie zobaczyć, trzeba było długo chuchać i wtedy tworzyło się przezroczyste kółko. Do studni prowadził śnieżny tunel. W 1941 roku przez trzy miesiące stacjonowali Niemcy, a w 1945 zaczęła się ofensywa, co automatycznie wykluczało możliwość prowadzenia zajęć. Siatka godzin była zmniejszona, zredukowana do połowy przedwojennego wymiaru.

Ludzie ze wsi ciągle do nas przychodzili. Pamiętam, że mama wydzielala dzieciom wiejskim i mnie po łyżce okropnego tranu, póki się nie skończył. Nie chodzono do lekarza czy dentysty, nie używano lekarstw. My też, nie było nas na to stać.

Jednego roku panowała w okolicy czerwonka, czyli krwawa dezynferia. Umarło wtedy wiele ludzi, między innymi synek organisty, mały Staś Śluzak, którym się często opiekowałam. Codziennie przeciągał koło nas pogrzeb jeden lub dwa, dążąc na pobliski cmentarz. Zmarłych żegnało się w domu, leżeli w otwartej trumnie do samego pogrzebu. Pamiętam także pogrzeb partyzantów (to było już później, przy końcu wojny), w którym uczestniczyłam. Zostali pochowani uroczyście na poczesnym miejscu na libiszowskim cmentarzu.

Niemcy bywali we wsi rzadko. Bali się najpierw żołnierzy Hubala, a potem innych partyzantów. Opoczno i Końskie nazywali Banditenstadt. Dwa razy w roku pojawiali się w dużej liczbie, otaczali wieś i zabierali kontyngenty oraz szukali ukrytego bydła. Zachowywali się jak karna ekspedycja. W tym czasie za zabicie po kryjomu świni groziła kara śmierci. Pamiętam jednak również żołnierzy Wehrmachtu, którzy stacjonowali u nas przez trzy miesiące. Okazali się zwykłymi, dobrymi ludźmi. Nie zrobili nam żadnej krzywdy przez te trzy miesiące, gdy u nas stacjonowali. Śpiewali często i pewnie tęsknili za swoimi domami i rodzinami. Lubili mnie, zagadywali do mnie „Was machts du Hanetczka?”, zostawiali cukierki i pomarańcze na kredensie w kuchni, gdzie leżały długo, a ja tak teoretycznie Niemców nienawidziłam, że wcale nie miałam apetytu na te podarunki. Leżały więc długo, dopóki ich nie sprzątnęli. Pamiętam dobrze odświętny wieczór, który niemieccy oficerowie zorganizowali w naszym pokoju, prosząc wcześniej o taką możliwość oddzielenia się od swoich zbiorowych pomieszczeń. Trzy kobiety były pewnie śmiertelnie przerażone, ale spokojnie na moich oczach umieszczały w różnych miejscach, a więc na szafie, za piecem siekierę, noże, itp. Jednak oficerowie zachowywali się wykwintnie, pili bardzo mało, grali na skrzypcach, rozmawiali, na wszelkie sposoby podkreślali swoją kulturę i dobre maniery.

Pamiętam również ten dramatyczny moment, gdy wyrzucali drewno z tak zwanej drwalki, co z przerażeniem obserwowaliśmy ukryte w swoim pokoju za firanką. Ja również orientowałam się, co nam grozi, jeżeli znajdą ukryte tam radio. Nie wiadomo, czy nie znaleźli, czy nie chcieli znaleźć. Niemcy zostawili plakat z krwiożerczym bolszewikiem i w ten sposób dowiedziałam się o ich istnieniu, ale nie uwierzyłam, uznałam za niemiecką propagandę.

Nie mówiło się u nas o bolszewikach, nie mówiło się też o losie Żydów, chociaż w Libiszowie były dwa domy żydowskie, blisko kościoła, za organistówką, a w Opocznie w 1940 roku powstało getto, wkrótce zlikwidowane (opoczyńskich Żydów deportowano do Treblinki). Pamiętam te dwa puste domy z czarnego drewna, inne od bielonych na niebiesko chat chłopskich, które stopniowo się rozpadały. Mama wspominała, że przed wojną kupowała od Żydów, którzy do nas przychodzili, dużo mięsa (żywiła się nim cała rodzina służącej). Opowiadała też, że na dworcu w Opocznie czekali na przyjezdnych furmani żydowscy, którzy mówiąc specyficzną polszczyzną, głośno zachęcali: Do Studzianny!, Do Radzic!, Do Przysuchy!”

Nie mam pojęcia, jaka była wiedza Mamy, Cioci i Zosi. Wiem, że często słuchały radia, może nawet Londynu, Mama była ciągle między ludźmi. Nie wiem jednak, czy wiedziały o obozach koncentracyjnych, o Katyniu, o zagładzie Żydów. Być może, na taką wiedzę nie czekano, przede wszystkim wypatrywano nadziei na jakieś pomyślniejsze wiadomości z frontu. Zresztą te straszne wiadomości były nie do przyjęcia, nie do uwierzenia, przecież dotąd nigdy nic podobnego się nie zdarzyło.

Była bieda, ale ja jej nie odczuwałam. Mroźne dni spędzałam pod pierzyną albo na dużej kuchni. Mama, Zosia i Ciocia siedziały przy karbidówce, która dawała o wiele lepsze światło od lampy naftowej, i robiły na drutach swetry, a Ciocia opowiadała filmy z Gretą Garbo, np. „Królowa Krystyna”. Chyba nie zaciemniało się okien i nie przestrzegało godziny policyjnej, Niemcy bali się i pojawiali rzadko, zawsze w dużej grupie. Żyliśmy z pola, które dawało ziemniaki i żyto (piekło się chleb w domu, w specjalnym chlebowym piecu) oraz ogrodu, gdzie Zosia uprawiała marchew, buraki, pietruszkę, fasolę i mak oraz rosły owoce. Na szczęście było dużo owoców, które się jadło na surowo, gotowało suszyło (również warzywa) na zimę, czasem sprzedawało. Chodziłam na jagody do lasu koło Bukowca, ale było ich tam bardzo mało, ponieważ wszyscy je zbierali. Jadło się zupełnie jarzynową, owocową oraz zalewajkę. Mięsa i jajek raczej nie było. Ja jako dziecko, które rosło, dostawałam do chleba pół łyżeczki smalcu. O mleko, masło i sery też nie było łatwo, bo trudno było wykarmić krowę i kury, nie było czym. Na mleko hodowana była u nas koza. Herbatę robiło się z suszonych obierek jabłek, na wsi po prostu pito wodę, wodą też częstowano. Pensja Mamy i Cioci szła na sól, zapałki, karbid, igły i nici i pewnie opał. Cukier dostawały na kartki, może to było pół kilo na pracującą osobę. Poza tym niczego nie kupowało się, nie pamiętam żadnych pieniędzy ani rozmowy o pieniądzach. Musiało wystarczyć to, co zostało sprzed wojny. Kłopot był w późniejszych latach ze mną, bo rosłam. Miałam sukienki, a nawet palto robione na drutach z wełny, ale potrzebowałam czasem nowych butów i je miałam. Dostałam nawet śliczne „oficerki”, małe skrzypce i kilka książek. Oczywiście latem chodziłam tak jak wszystkie dzieci boso i boso szłam z ludźmi do Opoczna na odpust. Buty zakładało się tuż przed miastem. Nie postępowałam tak jednak z konieczności tylko dla towarzystwa. W pełni to doceniałam. Wiedziałam, że mam tak dobrze dzięki Mamie, Cioci i Zosi. Wiedziałam, że żyję w dużo lepszych warunkach niż dzieci ze wsi i miałam z tego powodu wyrzuty sumienia.

Dla dorosłych kobiet, nieprzyzwyczajonych do pracy fizycznej, było to życie bardzo trudne. Nawet przygotowanie posiłków na kuchni z fajerkami, w której paliło się drzewem wymagało pracy, zręczności i stałego doglądania. Trzeba było do tego nosić z daleka wodę, prac w balii na tarce. Prasowało się żelazkiem „na węgle” wyjmowane z pieca lub też żelazkiem z „duszą”, kawałkiem żelaza, które pogrzebaczem wyjmowało się z rozżarzonego drzewa i wkładało do środka. I węgle, i duszę, trzeba było zmieniać.

Mimo to, zwłaszcza latem, toczyło się u nas ożywione życie towarzyskie. Chodziłam razem z Mamą, zwaną przez bliskich Fredą, do Jej przyjaciółek: Marty w Trzebinie, Zosi w Bielowicach, pięknej Stefy Balonowej w Wygnanowie, do państwa Szczepańskich w Kruszewcu. Pani Marta była ładną, zgrabną, elegancką, pełną życia kobietą, jednak szpecili ją „dzioby” po przeżytej czarnej ospie; nie była przeciwko niej szczepiona. Byłam również raz w przepięknym ogrodzie przy dworze w Kraśnicy, gdzie przyglądałam się nieznanym mi egzotycznym kwiatom i żółwiom, podczas gdy Mama załatwiała jakieś sprawy we dworze. Przyjeżdżały do nas na koniach piękne panny Drużbackie z dworu w Zameczku ubrane w stosowne do jazdy końskiej

stroje. Pamiętam kolację w Zameczku w sierpniu 1944 roku, na którą mnie Mama zabrała. Przy bardzo długim stole siedziało bardzo dużo ludzi, głównie uchodźcy z Warszawy, którzy zachowywali się bardzo wytwornie i ukrywali swój głód. Podano mleko, które się zsiadło w pięknych miseczkach oraz ziemniaki z małą ilością skwarków ze słoniny. Zastawa była wytworna, sztucze srebrne.

Bywałam jednak także w chłopskich chatach i widziałam, jak ludzie jedli barszcz ze wspólnej miski ustawionej na ławie. Obserwowałam także proces międlenia, a potem przędzenia lnu i wełny na kądzieli (wąska deszczułka, na której się siedziało, do niej wbity był pionowo kij, na którym umieszczano się zgreplowaną wełnę lub wyczesany len i kręciło zgrabnie nić, nawijając ją na wrzeciono) i na kołowrotkach, a potem tkania na domowych warsztatach. Podziwiałam uroczyste śluby i razem z innymi dziećmi biegałam za furą ze ślubną parą, która rzucała nam cukierki i kawałki placka z mąki pszennej, raczej bez jajek. Żyłam na skraju dwóch różnych światów i dwóch kultur i czułam się z tym dobrze. Na przykład z okazji Pierwszej Komunii Świętej, która była poprzedzona naukami w kościele, bardzo pilnie przeze mnie wysłuchiwanymi, miałam dwie białe sukienki, zapewne obie pożyczone, miejską i libiszowską z wełnianą zapaską. Z okazji tej uroczystości fotograf zrobił zbiorowe zdjęcia wszystkim dzieciom. Było nas sporo, 25 chłopców i 21 dziewczynek. Klasy musiały być więc liczne. Chłopcy mają jednakowe granatowe lub czarne marynarki - mundurki, białe koszule i ogolone na zero głowy, dziewczęta są w wełniakach, mają białe koszule z szerokimi rękawami, mniejsze zapaski zawiązane jak fartuszek, na staniczkach zdobionych aksamitkami dwa, trzy sznurki koraliki, na głowie chustki zawiązane z tyłu. Na poczesnym miejscu siedzą również uroczyste ubrani ksiądz Jan Nazarewicz i młody wikary. Po południu w moim domu było przyjęcie dla wszystkich znajomych, zachowało się sporo zdjęć z tej uroczystości.

Pamiętam również koncert w naszym domu w wykonaniu Michała Lasowego, warszawskiego śpiewaka operowego, brata pani Stefy Balonowej z Wygnanowa. Było to dla mnie wielkie przeżycie, zetknięcie z inną sztuką. Lasowy śpiewał arię Jontka z „Halki” Moniuszki: „Szumią jodły na gór szczyt, szumią sobie w dal...” Słuchanie muzyki było wówczas zakazane, ale za taką Niemcy nie uważali muzyki organowej w kościele i ludowej orkiestry na weselach i zabawach, które chyba się w dalszym ciągu odbywały.

Wiedziałam, że Mama jest w konspiracji i jest to dla Niej niesłychanie ważna sprawa, którą wykonywała z pełnym poświęceniem i poczuciem misji. Bardzo często nie było Jej długo w domu. Wracała z dalekiej przeważnie podróży, najczęściej połą dróżką od strony Bukowca. Często chodziła lasami. Jej powrót był radosnym przeżyciem sygnalizowanym przez psa Misia, który wybiegał jej naprzeciw i wracał, i znów wybiegał. Mama roznosiła pewnie wtedy te niewielkie pieniądze z dotacji Delegatury (o czym nie wiedziałam). Miało to ogromne znaczenie praktyczne, ale i moralne, podnosiło ludzi na duchu, udowadniało, że nie są sami, że istnieje Państwo Podziemne. Mama opiekowała się rodzinami zamordowanych i uwięzionych nauczycieli i sądziła, że świetnie się w tej roli sprawdzała, jako osoba pełna entuzjazmu, empatii, poświęcenia.

Starsi chłopcy ze wsi przychodzili do nas na dodatkowe lekcje. Pamiętam Stasia Nitę, który potem został lekarzem wojskowym. Nie wiedziałam oczywiście, że Mama, Ciocia i pan Szczepański z Kruszewca oraz wielu innych znajomych pracują w TON, Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, najliczniejszej po AK organizacji podziemnej skupiającej 55000 nauczycieli i obejmującej około miliona uczniów, utworzonej w 1939 roku przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Była ona doskonale zorganizowana; podlegała Departamentowi Oświaty i Kultury Delegatury Rządu Londyńskiego na Kraj, a więc działała w strukturze Polskiego Państwa Podziemnego, którego administracja pracowała w ramach osiemnastu departamentów, czyli ministerstw. TON objęła swoją działalnością cały kraj, była to również doskonale zorganizowana, konspiracyjna sieć oparta na pracy komisji okręgowych, powiatowych i gminnych. Prowadziła tajne nauczanie na wszystkich trzech szczeblach oświaty: w szkołach powszechnych oraz na poziomie całkowicie zakazanego szkolnictwa średniego i wyższego. Współpracowali z TON-em wybitni uczeni uniwersyteccy tej miary co prof. prof. Stanisław Ossowski, Maurycy Handelsman, Julian Krzyżanowski, Tadeusz Kotarbiński, Bogdan Suchodolski. W jawnych szkołach

powszechnych uczono zakazanych dziedzin wiedzy, a więc przede wszystkim historii, geografii i literatury polskiej. Opracowywano programy nauczania, podręczniki i wskazówki metodyczne. Przeciwwstawiano się w ten sposób planom zniszczenia kultury polskiej i fizycznej eksterminacji inteligencji. W instrukcji z października 1939 roku Generalny Gubernator, Hans Frank, zarządził: „Polakom należy stworzyć takie warunki, które będą wskazywać beznadziejność ich położenia.” Zlikwidowano wszystkie instytucje kulturalne, biblioteki, teatry, filharmonie, muzea oraz szkoły średnie i wyższe, usunięto język polski z życia publicznego. Za element najbardziej niebezpieczny uznano wszystkich, którzy mieli wyższe i średnie wykształcenie, a więc nauczycieli, księży, prawników, dziennikarzy, lekarzy, dentystów, weterynarzy, oficerów, ziemian, urzędników i kupców. Delegatura i TON były nastawione w swoich działaniach na teraźniejszość i przyszłość. Rejestrowano zbrodniczą działalność okupanta, chroniono ludzi i kulturę, ale również planowano reformy, jakie powinny nastąpić po zakończeniu wojny.

Dzięki subwencjom rządu londyńskiego TON pomagała ludziom zagrożonym aresztowaniem, ukrywającym się oraz rodzinom represjonowanych. Działało sześć okręgów: warszawski, radomski, krakowski, kielecki, lubelski i podlaski, potem łwowski i łódzki. W żadnym innym okupowanym kraju nie powstała podobna masowa organizacja w dodatku współdziałająca ściśle z innymi ogniwami Państwa Podziemnego. Mimo powszechności akcji, wielkiej liczby nauczycieli, uczniów i rodziców wtajemniczonych w nią, nie było przypadków naruszenia zasad konspiracji, donosów czy zdrady. Początkowo Niemcy nie zdawali się z sprawy z rozmiarów tej działalności, dopiero w 1943 roku przechwycili kurierskie dokumenty i wówczas wszczęli akcję przeciw tajnemu nauczaniu. Za udział w nim groziło więzienie, obóz koncentracyjny, a nawet kara śmierci. W czasie wojny zginęło ponad 30% nauczycieli. Wśród nich znaleźli się koledzy Mamy: Jan Nowak z Modrzewia (Auschwitz), Stefan Szymański ze Studzianny i Franciszek Wojciechowski z Aleksandrowa. Nauczyciele byli rozstrzelani, aresztowani, zsyłani do obozów koncentracyjnych, ucierpieli także uczniowie i studenci. TON ujawniła się w lutym 1945 roku (decyzja o tym zapadła na pamiętnym zjeździe w Skierniewicach) i otrzymała zgodę na przekształcenie się w Związek Nauczycielstwa Polskiego za cenę poszerzenia kierownictwa o przedstawicieli PPR. W czerwcu odbył się Zjazd w Łodzi, na którym Mama była jedną z 550 delegatów. Po 1945 roku w niektórych oddziałach ZNP długo działały koła lub kluby TON-u, niektóre z nich istniały do niedawna, powstały izby pamiątkowe, w wielu miejscowościach prowadzone były różne akcje pod hasłem „ocalić od zapomnienia”. Z przyjemnością przeczytałam w Internecie, że przewodniczącym powiatowej Komisji TON-u w Miechowie był mąż mojej chrzestnej, także nauczycielki, Stanisław Pogoda.

Wielu delegatów Rządu reprezentujących Państwo Podziemne było nauczycielami związanymi ze Stronnictwem Ludowym. Nauczyciele, którzy z reguły byli oficerami rezerwy, mającymi duże umiejętności organizacyjne i właściwy kontakt z ludźmi, z reguły wstępowali również do podziemnych organizacji wojskowych. Prawie połowę dowódców oddziałów partyzanckich Batalionów Chłopskich stanowili nauczyciele, podobnie działo się w obsadzie oficerskiej Drugiego Korpusu generała Andersa, w którym nauczycielami było 50% kadry oficerskiej.

Mama bywała w Lipinach w niezwyklej konspiracyjnej szkole średniej ukrytej w lesie, w widłach Pilicy i Drzewiczki, która została stworzona w 1940 roku przez dr Helenę Spoczyńską (1896 – 1968). Starsi uczniowie byli jednocześnie partyzantami. Pamięć o tej placówce przetrwała. J. Jaźwiec napisał książkę: „Lipiny – Helena Spoczyńska - Narodzona w konspiracji”, a Tadeusz W. Nowacki „Życie pracowite Heleny Spoczyńskiej” Jak się dowiedziałam, Helena Spoczyńska założyła tę szkołę z inspiracji niezwyklego człowieka, księdza Ziei, legendarnego kapelana Szarych Szeregów, dobrze również znanego opozycji lat osiemdziesiątych. Ksiądz Zieja pochodził podobnie jak Helena Spoczyńska z Opoczyńskiego, urodził się we wsi Ossa w gminie Odrzywół. Obecnie Zespół Szkół Ekonomicznych w Lipinach uhonorował Helenę Spoczyńską wyborem na swoją patronkę. W informacjach o Helenie Spoczyńskiej napisano, że miała dwa pseudonimy: „Helena” i „Teresa oraz, że była przewodniczącą Tajnej Komisji Oświatowej, czyli dodano jej dwa fakty z biografii mojej Mamy.

W nawiązaniu, w tym od nas. Wskazywanie...

Nie dziwi to, ponieważ w okresie powojennym garstka konspiratorów uległa rozproszeniu, Mama już się z nimi nie kontaktowała, bo przecież było to niebezpieczne, zapomniano więc, kto krył się pod pseudonimem „Teresa”.

Często bywali u nas konspiratorzy. Pamiętam ukrywającego się u nas pana Władysława Głabińskiego, który wychodził ze swojego pokoju tylko nocą. Siedział w jednym z dwóch naszych pokoi - jak mi się wydaje - bez światła. Jakiś czas mieszkała u nas energiczna pani o surowym wyglądzie, która rzekomo była naszą gosposią. Wiadomo, że na żadną gosposię nie było nas stać.

A jednak ksiądz Nazarewicz, który nie angażował się w sprawy wsi i z nami nie utrzymywał żadnych kontaktów, (widywałam Go tylko w czasie odprawiania nabożeństw) jako najbliższy nasz sąsiad coś zauważył. Pewnego razu gdy w księżym łubinie bawiłam się pewnie w Sarenkę Modrooką, bohaterkę czytanych z zapalem powieści indiańskich, nagle znalazł się przy mnie ksiądz i zapytał o pana, który u nas mieszka i o ludzi, którzy akurat odbywali u nas konspiracyjne spotkanie w klasie szkolnej. Nikt mi nie tłumaczył zasad konspiracji, ale ja dobrze wiedziałam, że mi nic nie wolno powiedzieć. Miałam jednak nieczyste sumienie z powodu pogniecionego łubinu, a oszukiwanie księdza, przed którym się spowiadałam, wydało mi się grzechem śmiertelnym i nawet ogień piekielny mnie nie przerażał tak jak określenie „grzech śmiertelny” w odróżnieniu od grzechów pospolitych. (Przygotowanie do pierwszej komunii przeżyłam bardzo poważnie.) Znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Powiedziałam księdzu prawdę, a następnie pobiegłam do domu i z płaczem przyznałam się zebranym w dużej klasie ludziom, do tego, co zrobiłam. Nikt na mnie nie krzyczał, ale pośpiech, z jakim dyskretnie opuszczali naszą szkołę, mówił za wszystko. Nic się potem nie stało, ksiądz nie zdradził, ale dla mnie było to traumatyczne przeżycie. Nie wiedziałam dokładnie, ale domyślałam się, że byli to ludzie „spaleni”, poszukiwani przez Niemców, w dodatku ciągle prowadzący jakąś konspiracyjną działalność.

Mama i Ciocia często wieczorem słuchały z wielką uwagą radia, najczęściej po ciemku, w pustej wieczorem klasie.

Działalność Hubala nie poszła na marne. W miejscowościach, gdzie przebywał, w Studziannie i Radzicach, ludowcy zaczęli się organizować. W Radzicach miały podobno miejsce zrzuty lotnicze. Ze Studzianny właśnie pochodził Władysław Głabiński, który się u nas ukrywał.

Jak się dopiero później dowiedziałam, pan Głabiński („Gruda”) był od 1942 roku komendantem Batalionów Chłopskich na powiat opoczyński. Bataliony Chłopskie utworzono jesienią 1940 roku z inicjatywy Stronnictwa Ludowego „Roch”, w 1944 roku liczyły 140 tysięcy żołnierzy. Opoczyńskie Bataliony Chłopskie były najpierw w strukturze kieleckiej, później podlegały Łodzi. (Opoczno, położone na skraju Małopolski i Mazowsza podlegało różnym władzom, np. przed wojną znajdowało się na terenie kuratorium krakowskiego, po wojnie kieleckiego, w czasie okupacji był to dystrykt radomski, w TON-ie zaś okręg łódzki z siedzibą w Tomaszowie Maz.). Głabiński był zwolennikiem scalenia BCH z AK, co częściowo nastąpiło latem 1943 roku. Zastępcą „Grudy” był Władysław Wojtaszek („Wiślicki”), delegat Rządu na Kraj w Opocznie, który zastąpił zabitego przez Niemców Stefana Szymańskiego). Chyba był u nas często, bo jego nazwisko mocno mi utkwilo w pamięci. Pamiętam także sympatycznego rosłego bruneta, pana Juszczyka (to fałszywe nazwisko, pseudonim „Kruk”, który chyba przyjeżdżał do nas na rowerze z Idzikowic; był on – mając rangę kapitana – komendantem powiatowym opoczyńskiej Ludowej Straży Bezpieczeństwa BCH i Delegatury Rządu. Kierował więc akcjami dywersyjnymi i partyzanckimi w ramach samoobrony wsi. (Prawdopodobnie był to Aleksander Stasiński).

Pamiętam jeszcze jeden dziwny dzień uwieczniony nawet na fotografii. Wśród gości znajdował się także dobrze znany pan Antoni w wysokich butach, który w pewnym momencie wsiadł na rower i odjechał w kierunku Opoczna. Cały czas nawet ja odczuwałam nastrój nieokreślonego niepokoju. Okazało się, że pan Antoni miał wykonać wyrok na kimsz z gestapo i rzeczywiście wówczas tego dokonał. Potem już nigdy się u nas nie pojawił. Prawdopodobnie wykonał wyrok sądu podziemnej organizacji.

Zaczął się powstanie warszawskie. Wkrótce w Libiszowie widać było wielką chmurę dymu, która przez wiele dni stała nad płonąca stolicą. Dla mnie lęk się skończył, gdy dym zaczął opadać, a we wsi pojawili się warszawiacy. Wreszcie miałam koleżankę Anię, która też lubiła czytać. (Po latach spotkałam ją na Uniwersytecie Warszawskim na wspólnych wykładach z logiki u prof. Lucyny Kotarbińskiej. Ania studiowała filologię romańską, ja polonistykę. W dalszym ciągu różniła nas sytuacja materialna, rodzice jej prowadzili jakieś interesy.) U nas zamieszkała pani Wanda Pikielowa, skromna, cicha, wrażliwa osoba. Później pojawił się jej mąż, pan profesor Pikiel, niestety niesympatyczny, może dlatego, że był u nas pewnie ciągle głodny, niezadowolony z wodnistej zalewajki, z której przy cichej dezaprobacie żony zabierał dla siebie wszystkie skwarki ze słoniny (jeżeli w ogóle się takowe pojawiły). U nas nie narzekało się na głód, był to temat taktownie pomijany, zresztą jadło się coś tam trzy razy dziennie. Pamiętam tylko jeden dzień, kiedy to zabrakło czegokolwiek. Pewnie takich dni było więcej. Nie przypominam sobie ówczesnych pieniędzy, żyło się prawie w stadium gospodarki naturalnej.

Mama udzielała się również w RGO, Radzie Głównej Opiekuńczej, także współpracującej z Delegaturą, oficjalnej organizacji założonej w czasie I wojny światowej i reaktywowanej po 1939 roku przez hrabiego Adama Ronikera, który za cenę pewnej współpracy z Niemcami działał jawnie i udzielał materialnej pomocy najbardziej potrzebującym, Polakom wysiedlonym do GG z Wielkopolski, Pomorza, Zamojszczyzny i Wołynia. Działania te były szczególnie potrzebne w okresie po upadku powstania warszawskiego, kiedy to trzeba było rozciągnąć opiekę nad tysiącami ludzi, którzy na ogół nie mieli niczego. Cenna była wtedy każda najskromniejsza zapomoga pieniężna czy też wsparcie w postaci odzieży, obuwia i żywności. (Środki na to uzyskiwano z pomocy zagranicznej, głównie z USA, współpracy ze szwajcarskim Czerwonym Krzyżem i dotacji Rządu RP na uchodźstwie. W RGO pracowało społecznie 15 tysięcy osób, między innymi słynna hrabina Karolina Lanckorońska).

Najpiękniejszym momentem w moim okupacyjnym życiu była Wigilia 1944 roku spędzona razem z oddziałem kawalerzystów Doliny (Adolfa Pilcha) i z Nim samym. Żołnierze w polskich mundurach wydawali mi się jak z bajki, rycerscy i piękni, a przecież piękni, a nawet czyści być nie mogli, skoro kilka miesięcy ukrywali się w ziemiankach w lesie, mieli za sobą bitwy i potyczki z Niemcami. Wigilia była bardzo udana, chociaż w niewielkim pokoju musiało się zmieścić dwudziestu partyzantów i siedmioro domowników.

Ciocią powtarzała mi: „Zapamiętaj dzisiejszy wieczór na całe życie!”. Nie potrzebowała, sama rozumiałam. Śpiewaliśmy partyzancką pieśń – modlitwę:

O Panie, który jesteś w niebie,

Wyciągnij sprawiedliwą dłoń.

Dziś z puszcy wołamy do Ciebie

O polski dach i polską broń.

O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj,

Do wolnej Polski nam powrócić daj!

By stał się twierdzą naszej siły

Nasz dom, nasz kraj!

W poszumie drzew błogosław Panie,

Błogosław nasz tułaczy śpiew

Znad Wisły, Warty, Bugu, Niemna

Męczeńska do Cię woła krew

O Boże....

A także drugą, weselszą: „Wśród nocnej ciszy Dolina jedzie

Oddział Bończego za sobą wiedzie...

Tu są drzewa, a tam krzaki,

Tu są Niemcy, tam Kozaki

Tam pysk Mongoła...

Po odjeździe „doliniaków” zamiatałyśmy ślady 20 koni na śniegu, zdając sobie sprawę, że było to śmieszne, ale coś trzeba było robić, żeby odwrócić niebezpieczeństwo od wsi, od nas i od Nich. I tak postępowaliśmy przez trzy noce po partyzanckich wizytach.

Potem było wielkie gotowanie mydła na jakieś konspiracyjne zlecenie według krążącego wśród konspiratorów przepisu na odpowiednią proporcję kalafonii, sody kaustycznej i wołowego łoju, tym razem z całej krowy, którą przysłał dwór z Zameczku. Kuchnia i pokój były zastawione naczyniami, w których to mydło stygło, a następnie się je kroilo. Niewątpliwie to zajęcie (w tej ilości) przerastało siły Mamy, Cioci i Zosi. Pewnie pomagał w tym Janek, który u nas mieszkał.

Dopiero niedawno dowiedziałam się, że Dolina, czyli Adolf Pilch (1914 -2000), był naprawdę niezwykłym człowiekiem, legendarnym dowódcą partyzantów „trzech puszczy”. W czasie wojny przedostał się na Zachód do polskiego wojska. Jako jeden z ponad trzystu „cichociemnych”, wyszkolonych w Anglii, został przerzucony do kraju i skierowany do oddziału partyzanckiego w Puszczy Nalibockiej w Nowogródku, gdzie został dowódcą oddziału „Stołpce”. Sytuacja na tym terenie była bardzo skomplikowana. Oprócz Niemców i wspierających ich oddziałów białoruskich działała tu również partyzantka sowiecka. Pilch, występujący w tym czasie pod pseudonimem „Góra”, był jednym z dowódców zaproszonych na wspólną naradę przez dowódców radzieckich, podobnie jak nieco później generał Wilk – Krzyżanowski i następnie generał Okulicki. Wyczuł jednak intuicyjnie niebezpieczną sytuację i wyprowadził swój liczący prawie 900 umundurowanych i dobrze uzbrojonych ludzi oddział na zachód. Partyzanci Doliny, idąc nocami, przekroczyli Niemen, Narew, Bug i Wisłę, pokonali 500 km i cudem przedarli się pod Warszawę. W dzień ukrywali się w lasach. Działając w rejonie Puszczy Kampinoskiej, wspomagali powstanie, wiążąc siły wroga, a nawet uczestniczyli w walkach w mieście o Dworzec Gdański. Dolina (zmienił swój pierwszy pseudonim) najpierw dowodził wszystkimi siłami AK Grupy Kampinos (2700 żołnierzy), potem pułkiem Palmiry - Młociny. Brał udział w walce na przedmieściach Warszawy i oczyścił Puszcę z oddziałów niemieckich, dzięki czemu można było przyjmować zrzuty od żołnierzy alianckich. Największe starcie z siłami niemieckim, a konkretnie z brygadą SS „Rona” miało miejsce pod Truskawiem, gdzie padło z zaskoczenia wielu wrogów i gdzie zdobyto ogromną ilość broni. Po upadku powstania Niemcy skierowali wielkie siły (m.in. dwa pociągi pancerne i lotnictwo) przeciwko partyzantom z Kampinosu. W bitwie pod Jaktorowem większość oddziału poległa lub została wzięta do niewoli i rozstrzelana. Dolina przedarł się ze swoim oddziałem konnicy, dołączył do wkrótce rozwiązanego 25 pp AK na Ziemi Piotrkowsko –Opoczyńskiej i stoczył jeszcze 16 potyczek na szlaku majora Dobrzańskiego – „Hubala”, w tym 9 grudnia w Białaczowie, 10 stycznia w Modrzewiu, 17 stycznia w Modrzewku i Kraśnicy. Od czerwca 1943 roku do 17 stycznia stoczył 235 bitew i potyczek. 17 stycznia rozwiązał swój oddział i przez Czechosłowację udał się na emigrację do Anglii, resztę życia spędził w Londynie. Został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i poczwórnym Krzyżem Walecznych, Krzyżem AK oraz King’s Medal for Courage. Napisał wspomnienia: wydane w Londynie w 1954 roku „Drogi cichociemnych” oraz „Partyzanci trzech puszczy” opublikowane w Warszawie w roku 1992, nagrodzone Nagrodą im. Mieczysława Łojka. Przy tej okazji po prawie pięćdziesięciu latach przyjechał do Polski.

Dolina był bardzo dobrym, mądrym człowiekiem i niezwykłym dowódcą o wysokim morale, co także cechowało jego żołnierzy. Łączył odwagę, wiedzę, intuicję ze sprytem, fantazją i szczęściem. Bardzo dbał o swoich partyzantów, o ich uzbrojenie, umundurowanie i wyżywienie, traktował ich po partnersku. Był ukochanym dowódcą, Taki też pozostał w mojej pamięci. Być może są prawdziwe moje wspomnienia, że jakimś cudem nie było widać po Nim i jego ludziach trudów bytowania i walki.

Najstraszniejsze dni przyszły w styczniu. Miałam już wtedy ogoloną całkiem głowę; wytłumaczono mi, że będą mi dzięki temu lepiej rosnać włosy, ale to pewnie chodziło o wszy albo jeszcze o coś innego. Wstydziałam się i nie zdejmowałam czapki. Przyplątała się do nas pomyłona staruszka, wyraźnie mająca kłopoty gastryczne, ale kręciła się przy kuchni i nawet ja

miałam w związku z tym obawy o nasze zdrowie. Wspominam o tym dlatego, że u nas znajdowali miejsce nie tylko krewni, konspiratorzy i partyzanci.

Mama wyjechała na dłużej, co dla mnie nie było niczym niepokojącym. Tymczasem 16 stycznia znów pojawili się kawalerzyści Doliny (przed swoją ostatnią bitwą), następnego dnia, a były wtedy ogromne mrozy, dobrze poniżej -20 stopni) rozległy się bardzo silne eksplozje i wyleciały wszystkie szyby w domu. Zaczęło się, ruszyła ofensywa Armii Czerwonej według planu marszałka Żukowa, która została przerwana na początku sierpnia 1944 roku w czasie powstania warszawskiego. Pojawił się u nas sztab niemiecki. Nie zważając na mnie, Niemcy debatowali nerwowo i palili mapy sztabowe oraz inne dokumenty w kuchni. Kierował tym dowódca mający piękną arystokratyczną twarz. W nocy było zupełnie jasno, na niebie wisiały tak zwane choinki świetlne. Ta nocna jasność podkreślała wyjątkowość sytuacji. Coraz bliżej było słyszeć artylerię oraz bojowe samoloty. Walki na tym terenie były szczególnie zacięte, bo Niemcy w okolicach Tomaszowa i Inowłódza zbudowali ogromne umocnienia. Bunkry były tak olbrzymie, że mieścił się w nich pancerny pociąg. Boje toczyły się również tuż przy Libiszowie o most na Pilicy w Zameczku. Ubrana jak najcieplej, w palto, bo przecież okna były wybite, nawlekałam na nitkę koraliki i obserwowałam. Mamy nie było, nie wiedziałam, co się z nią dzieło, ale przecież przyzwyczaiłam się do jej nieobecności i powrotów. (W książce Wycecha „Z dziejów tajnej oświaty w latach okupacji 1939 -1944” znalazłam fotografię księgarni w Skierniewicach, parterowego drewnianego budynku, gdzie odbywał się ostatni zjazd TON-u, w którym Mama uczestniczyła w dniu rozpoczęcia ofensywy). Wokół trwały walki. Rankiem Niemcy zniknęli z naszego domu i wsi, zostawiając we wsi i na drogach samochody i czołgi oraz inny sprzęt bojowy, a nawet samolot, który nagle zniknął. Odleciał nim jakiś Niemiec, który umiał go uruchomić, może ten inteligentny dowódca sztabu, który był u nas nocą. Pierwszy czerwonoarmista pojawił się w momencie, kiedy Janek próbował wstawić szybę. Janek umknął do piwnicy, a bojec z odbezpieczonym kałasznikowem wpadł do domu z okrzykiem „Germaniec! Kuda Germaniec?”. Moja subtelna, uduchowiona Ciocia jak zwykle zachowała się bardzo przytomnie, powiedziała coś po rosyjsku i wręczyła butelkę wódki czy bimbru (czego w naszym domu nigdy nie było). Czerwonoarmista zapomniał o Germancu i zniknął, ale wkrótce przyszedł większy oddział. Przytoczyli pod okno naszego pokoju bez szyb armatę i rozpoczęli ostrzeliwanie pobliskiego cmentarza, gdzie ukryło się dużo Niemców. Po jakimś czasie ci Niemcy, którzy jeszcze żyli, poddali się i zostali przyprowadzani pod nasze okno. Patrzyłyśmy na to, a mnie było żal Niemców jako ludzi. Po pobieżnej rewizji zaczęto dokonywać egzekucji. Zaczęłam krzyczeć, Ciocia po rosyjsku interweniowała, przenieśli się dwa metry dalej. Przez następne dni naokoło szkoły i wokół na ośnieżonych polach leżały trupy żołnierzy w mundurach o charakterystycznym odcieniu zielonego koloru (feldgrau). Obok tych leżących pod oknami, uprzednio zrewidowanych, walały się zdjęcia ich dzieci, żon i dziewczyn. Potem byłam we wsi, widziałam porozbijane samochody, czołgi, mnóstwo żelastwa. Na wysokich stopniach kościoła leżał zamrożony trup Niemca pozbawionego butów. Ten widok był dla mnie najgorszy. Jeszcze pamiętam strzały pijanych żołnierzy rosyjskich do naszej szkoły, ale takie już na wiwat. Pamiętam, jak wpadali pojedynczy piechurzy z zapytaniem: „Kuda na Bierlin?” Pokazywało się ręką kierunek Opoczna, a oni zmęczeni nieludzko, ale zadowoleni, pędzili dalej, sądząc, że „Bierlin” jest tuż. Niektórzy przebywali dłużej. Pamiętam ich dowódcę, wysokiego dobrego Rosjanina w białym ogromnym białym kozuchu, który zamieszkał w naszej kuchni, a żołnierze w klasach. Przez wieś i okolicę przemieszczała się 33 Armia I Frontu Ukraińskiego. Nie miałyśmy złych przeżyć, wieś chyba także nie. Straciłam jakby przytomność (teraz to się nazywa „stres pourazowy”), chociaż nikt tego nie pamiętał, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Gdy oprzytomniałam, dom był prawie pusty, została tylko Mama i Ciocia. Ze strachem wyjrzałam poza dom i na pola, a one już były zielone i czyste. Z samochodów i czołgów mało co zostało i było tego sprzętu coraz mniej. Aż dziwne, bo z drugiej strony Opoczna, w Parczowie, gdzie mieliśmy Rodzinę, na wąskiej drodze z Petrykozów do wsi jeszcze długo po wojnie, na pewno jeszcze w 1946 roku, stały resztki czołgu. Wojna się skończyła. Mama i Ciocia walczyły z wszami pozostawionymi pewnie przez żołnierzy wszystkich trzech armii, a szczególnie tej

trzeciej. Polewały sprzęty wrzątkiem i szorowały je. Skończyła się pewna epoka w historii i naszym życiu. „Austeria” przestała istnieć. Podobno Niemcy mieli w planach pacyfikację Libiszowa na początku lutego, posiadali do tego liczne powody. Ofensywa radziecka nas uratowała.

*

W listopadzie 1969 roku, na miesiąc przed swoją śmiercią po nieudanej operacji, Mama otrzymała w Belwederze Krzyż Kawalerski z rąk ministra oświaty, Krzyż Kawalerski za tajne nauczanie.

Brestowa Wycieczka



ANEKS

Do WSPOMNIEN FRANCISZKI CHAŁUBIŃSKIEJ Z CZASU WOJNY

„Historia est vis magna. Pamięć jest cementem,
który spaja, tworzy więzi rodzinne i społeczne”

Henryk Samsonowicz, historyk

Po opracowaniu pierwszej wersji „Wspomnień Franciszki Chałubińskiej z czasu wojny” i rozesłaniu 25 skierowanych egzemplarzy do rodziny, Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Libiszowie, Liceum Ogólnokształcącego w Żychlinie oraz przede wszystkim do Muzeum Regionalnego w Opocznie, spotkałam się z szerokim odzewem (rozmowy, listy, telefony), nawiązałam kontakty z osobami, którym nazwisko Mamy nie było obce. Odezwała się Pani Dyrektor Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Libiszowie, historyczka, Marianna Matysiak, otrzymałam odpowiedź z Muzeum oraz piękne materiały regionalne świadczące o tym, że oryginalna kultura Ziemi Opoczyńskiej (stroje, obyczaje, obrzędy) jest w dalszym ciągu ceniona i kultywowana. Dzięki kontaktowi z Muzeum pojawiły się w „Tygodniku Opoczyńskim” dwa artykuły. Jeden z nich prezentował sylwetkę mojej Matki, drugi zawierał informacje o ostatniej wigilii „Doliny” na ziemi polskiej spędzonej w Libiszowie.

W efekcie tej publikacji otrzymałam list i książkę od Ryszarda Bielańskiego, autora monografii „Góra-Dolina” - Adolf Pilch” wydanej przez Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Z wielkim wzruszeniem przeczytałam najpierw zakończenie książki z opisem wigilii w Libiszowie zapamiętanej tak dobrze przez moją Mamę i przeze mnie:

„Przyszła Wigilia 1944 roku. Ostatnia Wigilia pod okupacją niemiecką. We wsi Libiszów miejscowa placówka AK z nauczycielami miejscowej szkoły przygotowała wieczerzę. Wspominam po przeszło sześćdziesięciu latach urok tamtego wieczoru. Życie w permanentnym napięciu, u najbardziej odpornych zostawia ślady w psychice. Takie spotkania jak u gospodarzy pod Grodziskiem Mazowieckim, w Kraśnicy, Zdyszewicach i wielu miejscowości naszego pobytu, mogącego przynieść ich mieszkańcom śmierć było jak balsam. Ukoronowaniem uczuć, jakimi nas (obdartusów, zawszonych brudasów) darzyli rodacy, była Wigilia w Libiszowie. Zapadła uczestnikom w pamięci do końca życia.

Choinka, zaścielony bielutkim obrusem stół z siankiem. Prysmaki wigilijne, miłe uśmiechnięte twarzyczki pań, uprzejmość panów, atmosfera rodzinna. Wartość pełnili miejscowi członkowie AK. Opowiadało się przygody, śpiewało kolędy, piosenki żołnierskie, deklamowało wiersze. „Dolina” pięknie popisał się wierszem Or-Ota „Somosierra”. Pierwszy raz odkrył duszę romantyka – patrioty. Wachm. Pchor. Józio Bylewski „Grom”, szwadronowy, nietuzinkowy poeta napisał wiersz. W zartobliwej formie kolędy opisał prawdziwe zdarzenia:

Wśród nocnej ciszy Dolina jedzie,
Oddział buńczuczny za sobą wiedzie,
Jedzie poprzez lasy, krzaki,
Tu są Niemcy, tam Kozaki,
Tu pysk Mongoła.

Wtem z lasu padły jakieś trzy strzały,
Już w miejscu stoi oddział nasz cały;
Kto to strzela? Co to strzela?
Kto się do nas iść ośmiela,
Pyta doktor nasz.

Poszedł dowódca razem z Dąbrową,
Las ich przywitał ciszą grobową,
Więc wracają z bronią w dłoniach,
A już wojsko śpi na koniach,
Chrapie, aż drży las.

Jedziemy dalej, a tu nurt rzeki
Broni nam wstępu w świat ten daleki,
Pan Dąbrowa jest już z przodu,
Skacze w wodę, szuka brodu,
W tę grudniową noc.

Dno mu ucieka, konisko pływa,
Tylko widoczne są uszy, grzywa,
Jeźdźca także woda kryje,
Aż po samą prawie szyję,
Jaki miły sport.

Nic nam nie znaczą wszelkie przeszkody,
Przejdziemy lasy, góry i wody,
Na bok wszelkie smutki, troski,
Bo do wolnej wiedzy Polski,
„Dolina”, nasz wódz.

A więc - okazało się - że zapamiętałam całkiem dobrze początek tej kolędy, która sprawiła na mnie duże wrażenie, i jako ciekawa, żartobliwa opowieść o partyzanckich „przygodach” (przeprawa przez Drzewiczkę), i jako pierwsza w życiu usłyszana trawestacja znanego tekstu. Także „Dąbrowa” - bohater kolędy - i „Wyrwa” (dowódca innego oddziału), których pseudonimy zapamiętałam, ale nie zanotowałam we „Wspomnieniach”, bojąc się, że zmyślam, istnieli naprawdę i bywali u nas. Prawdopodobnie partyzanci byli u nas trzeci raz, 17 stycznia już po rozwiązaniu oddziału w obliczu ofensywy radzieckiej bez swojego dowódcy, właśnie z Dąbrową. Wówczas, kiedy klęska Niemców była już niemal przypieczętowana, wielu Kresowiaków nie wiedziało, co zrobić ze swoim dalszym życiem, gdzie się udać. Wszak już nie mieli swej najbliższej ojczyzny i rodzinnych domów. Ciekawe, że ja, która znałam dobrze gwarę opoczyńską i sprawnie się nią posługiwałam, przechodząc jednak płynnie na język ogólny w domu, nie zauważyłam kresowego zaciągania ani też nie dostrzegłam, że partyzanci byli brudni i nawet zawszeni. Rzeczywiście w styczniu Mama ogoliła mi głowę „na zero”, tłumacząc, że będę miała po tym zabiegu piękne włosy. Nie zaniedbałam kontaktu z panem Bielańskim, wysłałam mu wspomnienia Mamy. Uznał je za cenne do tego stopnia, że skserował je w 10 egzemplarzach i rozdał zaprzyjaźnionym szkołom, a mnie przysłał swoją wcześniejszą książkę „Prawie życiorys”.

U książce Janusza Gmitruka na temat działalności Batalionów Chłopskich na Kielecczyźnie znalazłam zniekształcone nazwisko Mamy „Chaubińska” i Teresa bez cudzysłowu jakby to było drugie imię, a nie pseudonim. Opoczyńskie - jak już wcześniej wspominałam - należało do obwodu kieleckiego, a potem łódzkiego, stąd ta niepełność danych. Na tym drugim etapie nastąpiło scalenie BCh z AK przeprowadzone przez komendanta Władysława Głobińskiego. Umowa scaleniowa z AK została podpisana we wrześniu 1943 roku, ale nie została w pełni wykonana na innych terenach. Tutaj jednak to zjednoczenie nastąpiło. Pobyt „Doliny” został załatwiony przez AK, czyli pewnie przez ludzi z dawnego BCh, konkretnie pewnie przez Władysława Głobińskiego.

Adolf Pilch – „Dolina” w swojej wydanej na emigracji książce „Partyzanci trzech puszczy” (wydanie krajowe), wspomina, że na ostatnią Wigilię wojenną szwadron z dowódcą mieli zaproszenie do Kraśnicy, do majątku pani Anny Bąkowskiej, która tymże swoim majątkiem administrowała. Jej mąż Jerzy Jaxa Gryf Bąkowski został jako oficer rezerwy powołany w 1939 roku do wojska. Wzięty do niewoli rosyjskiej w okolicach Lwowa już nie wrócił, znalazł się w obozie jenieckim w Starobielsku, a potem został zamordowany w więzieniu w Charkowie. O tym rodzina dowiedziała się dopiero w 1990 roku. W czasie wojny pani Anna Bąkowska wspomagała Hubala, a następnie partyzantów AK. Henryk Dobrzański, dobry znajomy domu, otrzymał od niej w darze wspaniałego wierzchowca pana Bąkowskiego „Demona”, chlubę kraśnickiej stadniny. Początkowo „szalony major” poczynał sobie bardzo śmiało. Na wigilię w 1939 roku pojawił się w kościele przy klasztorze filipinów w Poświętnym koło Studzianny „konno i zbrojno” ze swoim Oddziałem Wyzwolonym Wojsk Polskich, długo przebywał we wsi Gałki, licząc na siłę i odwagę swojego oddziału, nie zdając sobie sprawy z możliwości niezwykle okrutnych niemieckich metod odwetu. Po pacyfikacji Gałek, Stefanowa, Skłobów i Hucisk był przygnębiony skutkami swoich działań przeciw wrogowi. Wódz zginął w Anielinie razem ze swoim koniem. Niemcy zabrali ciało Hubala, a miejsce jego pochówku jest nieznane, ponieważ chodziło o to, aby ludzie nie oddawali hołdu ostatniemu żołnierzowi kampanii wrzesniowej. Dotąd krążą różne wersje o pochówku Hubala w różnych miejscach (ostatnio mówi się o cmentarzu w Kraśnicy), ale żadna z tych legend nie została potwierdzona. Wersje te świadczą o tym, że sprawa ta nadal ludzi intryguje, a jej bohater Hubal przeszedł w sferę mitu. W tej sytuacji nie dziwi, że jego koń „Demon” został przez miejscowych ludzi pogrzebany tam, gdzie został zabity, a pamięć o nim przetrwała. (Podobno opoczyński „Pegaz” to pomnik „Demona”, któremu dla bezpieczeństwa dodano skrzydła, aby go upodobnić do mitologicznego symbolu natchnienia poetów. W początku lat siedemdziesiątych było nie do pomyślenia, aby mógł powstać pomnik konny Hubala, w dodatku z inicjatywy oddolnej.) Ludzie, zamiast Hubala, czcili szczątki „Demona”, którego kości zostały zebrane i wmurowane w Anielinie, a oglądać je było można przez szybę. Obecnie część z nich znajduje się w Izbie Pamięci Hubala w Tomaszowie Maz.; reszta została - po stłuczeniu szyby - zabrana lub zniszczona przez kogoś. Hubalczyki istotnie u nas mogli bywać, Henryk Dobrzański był spokrewniony z Drużbackimi, właścicielami Zameczku, dworu odległego od nas o 3 km. Wydaje mi się, że Józef Wyrwa, hubalczyk, bywał u nas wtedy i w późniejszym okresie.

Niewątpliwie obecność Hubala budziła patriotyzm, podtrzymywała na duchu i zachęcała do wstępowania do oddziału i aktywizowała działaczy chłopskich w Opoczyńskim (ruch ludowy powstał tu już przed wojną, a jego ośrodkiem były Radzice). Chłopi mieszkający w pobliżu lasów spalskich dobrowolnie opodatkowali się na rzecz wyżywienia oddziału i wspierali go na wszelkie sposoby. Już na wiosnę 1940 odtworzone zostały struktury ludowców, do których należał Władysław Głobiński – „Gruda”, jego brat Paweł – „Orlicz” i szwagier Ignacy Sobczyk „Siwy”. Należy podziwiać, że tę patriotyczną postawę chłopi kontynuowali po pacyfikacji kilku wsi za działalność oddziału Hubala.

Oddział „Doliny” nie mógł spędzić Wigilii w Kraśnicy, ponieważ w ostatniej chwili okazało się, że będzie tutaj świętował ją dowódca 25 pułku piotrkowsko-opoczyńskiego AK. W wigilię obchodziła swoje imieniny Ewa Bąkowska, bardzo piękna 13-letnia córka dziedziczki, najmłodsza łączniczka AK na tym terenie. Na tę okazję został napisany 23 grudnia 1944 roku na mp. (miejscu postoju) przez Józefa „Groma” Bylewskiego (nauczyciela z Nowogródzczyzny) wiersz „Miłej Ewie w dniu Jej imienin Ułani od Doliny” :

Gdy już grudzień skuwa rzeki
i gdy szron ubiela drzewa,

imieniny - w myśli zwyczaj
swe obchodzi panna Ewa...

W dniu dzisiejszym pragnie tobie
Twych przyjaciół garstka nowa
Złożyć najlepsze życzenia,
Pragnie Tobie powinszować.

Dziwni ludzie: w butach łąty
I podarte spodnie mają;
Mowa jest ich jakaś inna,
Chociaż po polsku gadają.

Łatwo zgadniesz, że ci chłopcy
To są znani Doliniacy –
Szybka, zwinna kawaleria –
Z Kresów Wschodnich to Polacy.

Gdzieś nad Niemnem czy nad Szczarą
Zostawili chatki swoje
I do Twojej przyszli ziemi,
By o Polskę toczyć boje.

Była duża ich gromada,
Lecz na krwawym, długim szlaku
Śmierć wchodziła im w paradę
I kosiła tych chłopaków.

I nie jeden już nie ujrzy
Swoich bliskich i swej chatki –
Próżno matka czeka syna,
Wyglądają ojca dziatki.

Po tych borach, polach krwawych,
Gdzie huczały karabiny,
Śpią spokojnie kresowiaci –
Ci rycerze od Doliny.

Ci, co jeszcze głowę noszą
Przyszli w Dniu Twego imienia
Złożyć ukłon Ci wojskowy,
Złożyć serdeczne życzenia.

Słów tu wiele nie potrzeba,
Lepszy stokroć uścisk dłoni.
Wszyscy stajemy na bacność,
Ostrogami każdy dzwoni
I aż w niebo okrzyk bije:
„Niech nam Droga Ewa żyje!”

Wiersz ten, w najprostszy, a jednocześnie we wzruszający sposób opowiadający o losie ułanów Doliny, otrzymałam w formie ksero-rękopisu od samej Ewy Bąkowskiej razem z listem. Wyjaśniła mi w nim, dlaczego oddział „Doliny” świętował Wigilię nie u nich w Kraśnicy, ale w Libiszowie. To dzięki Niej, po przeczytaniu przysłanemu przez Nią artykułu w „Tygodniku Opoczyńskim” o ostatniej Wigilii „Doliny” w Polsce, odnalazł mnie pan Ryszard Bielański, jeden z najmłodszych „doliniaków” i przysłał mi swoją książkę. Nawiązałyśmy ze sobą kontakt, ja odwiedziłam Ewę w Gdańsku i serdecznie zaprzyjaźniłyśmy się, bo okazało się, że wychowując się blisko siebie (niespełna 10 km), mamy teraz podobne wspomnienia i poglądy. Ewa w pierwszym liście do mnie wspomniała, jak przygotowywano wigilię dla „doliniaków”, którą w ostatniej chwili trzeba było przewieźć do Libiszowa: „Może pani sobie wyobrazić, jakie w całym domu powstało ‘pospolite ruszenie’, aby w tak krótkim czasie przygotować wieczerzę wigilijną dla tylu osób (warszawiacy, sąsiedzi, ukrywający się i domownicy). Dzielne były te nasze Mamy i chwała Im za to.” Warto odnotować losy tej rodziny po wyzwoleniu, bo są one charakterystyczne dla tych czasów. Ryszard Bielański i sam „Dolina” wystarczająco potwierdzili patriotyczną postawę właścicielki Kraśnicy w czasie wojny, a także jej umiejętność gospodarowania tak, żeby móc wspomagać partyzantów. Bielański w swojej drugiej książce pisze: „Była Kraśnica wieś i Kraśnica dwór. I ze wsią, i z dworem, łączyły nas przemiłe wspomnienia. Właścicielka mająteczku, pani Bąkowska, wdowa po poległym w 1939 roku oficerze rezerwy, prowadziła wzorowe gospodarstwo. Współzycie jej ze wsią układało się tak, że niektórzy gospodarze w czasie parcelacji odmawiali przyjmowania działek... Majątek był punktem kontaktowym i schronieniem chorych i rannych partyzantów. Cudeńka opowiadali o serdeczności i gościnności pani domu, o czym mogliśmy się często sami przekonać, ale również o przejętych rolą opiekunów oficjalistów i służby folwarcznej... Nad Kraśnicą zaczęły się gromadzić chmury. Uprzedzeni, zaczęliśmy ograniczać odwiedziny. Nie wiadomo, co by się z dzielną panią Bąkowską i jej rodziną stało, gdyby nie ofensywa sowiecka. Tym razem gestapo nie zdążyło.” W majątku pani Bąkowskiej bywał także inny oddział partyzancki, „Las” Józefa Wyrwy, jeszcze liczniejszy (40 ludzi). 18 stycznia 1945 rodzina Bąkowskich została wyrzucona ze swojego dworu i zamieszkała u zaprzyjaźnionych ludzi w Kraśnicy, ale wkrótce nakazano jej wyjazd z okolicy na odległość przynajmniej 40 kilometrów od swego domu. Bąkowscy wyjechali więc do zniszczonego Gdańska, byli jednak w dalszym ciągu pod czujnym okiem władz. Pani Bąkowska, aby móc podjąć pracę na niskim stanowisku magazynierki w Akademii Medycznej, musiała określić swój stan cywilny, którego sama nie była przecież pewna. Zeby tę pracę uzyskać, aby utrzymać siebie i swoje dzieci, podała, że jest wdową, a władze już same dopisały rok śmierci pana Bąkowskiego na rok 1946, czyli już po reformie rolnej, co potem było przeszkodą przy ubieganiu się o odszkodowanie za utracony majątek. Gdy Ewa miała 17 lat, wzięto ją do więzienia prosto z lekcji, aresztowano także matkę, tylko osobno. Ewa była przesłuchiwana w trzech więzieniach: w Gdańsku, Piotrkowie i Opocznie na okoliczność rzekomego uszkodzenia oddziałowi GL, który znajdował się w okolicy. Nie wspomina tego czasu bardzo źle, w więzieniu spotkała ciekawych, przyzwoitych ludzi. Wypuszczono ją po pół roku i wtedy nie miała mieszkania oraz środków utrzymania, ale pomogli jej gdańscy sąsiedzi. Panią Bąkowską wypuszczono z więzienia po roku. Dotąd Ewa Bąkowska żyje wspomnieniami Kraśnicy, ukochanych koni. Jej ślicznie urządzone mieszkanie w Gdańsku jest ozdobione licznymi obrazami Kraśnicy namalowanymi na podstawie zdjęć oraz fotografii kraśnickich koni. Przede wszystkim Ewa zajmuje się gromadzeniem informacji o tym, co dokonano się w lesie katyńskim i więzieniu charkowskim. Bierze czynny udział w działalności rodzin katyńskich, należy bowiem do Rodziny Katyńskiej w Gdyni, gdzie w kościele znajduje się kaplica, a w niej nazwiska zamordowanych. Ewa była kilkakrotnie w Katyniu i Charkowie i posiada obszerną

dokumentację fotograficzną z tych wyjazdów i uroczystości z udziałem najwyższych władz państwowych. Od dawna bierze też udział w różnych spotkaniach byłych członków Armii Krajowej, przede wszystkim „doliniaków” i wie o nich wszystko, ma dużą bibliotekę.

Moja wiedza wzbogaciła się o rozmaite szczegóły również dzięki panu Włodzimierzowi Koperkiewiczowi, zasłużonemu regionaliście Ziemi Opoczyńskiej, wielkiemu znawcy jej historii i opiekunowi miejsc pamięci narodowej, który w 1986 roku umieścił dane dotyczące mojej Mamy w Kartotece Osobowej Osób Zasłużonych w Muzeum Regionalnym w Opocznie oraz zgłosił te informacje do Archiwum Wojskowej Służby Kobiet w Toruniu powstałemu dzięki staraniom i pracy Elżbiety Zawackiej – „ZO”, profesor matematyki, jedynej kobiety „cichociemnej” i kobiecie-generałowi. Także pewnie dzięki panu Koperkiewiczowi w najnowszej monografii gminy Opoczno (z roku 2005) Jego współautorstwa znajduje się wzmianka o mojej Mamie: „Z Libiszowem związana była Franciszka Chałubińska, która była członkiem powiatowej grupy Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, a od 1943 roku była członkiem tajnej Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury”.

W drugiej książce „Prawie zyciorys”, którą mi przysłał Ryszard Bielański jeszcze raz wspomina Opoczyńskie, Kraśnicę i wigilię w Libiszowie. Potwierdza, że Kraśnica była miejscem dla szwadronu Doliny wyjątkowym. Tutaj, dzięki odwadze, serdeczności i zapobiegliwości pani Bąkowskiej, ułani leczyli się z ran i chorób, czasem odpoczywali, jedli.

Z autobiograficznej książki Bielańskiego „Prawie zyciorys. 1939-1956” dowiedziałam się, jak żyli doliniacy na ziemi opoczyńskiej. Otóż nie mieli ziemianek w lesie, jak sobie wyobrażałam, ale przemieszczali się ciągle z miejsca na miejsce, śpiąc na słomie po dwie, trzy godziny we wsiach, które blokowali na ten czas. Czasem tylko zatrzymywali się na dłuższy postój w wiejskich kwaterach. Przeważnie zajmowali nad ranem jakąś wieś, otaczali ją strażą i nikt nie mógł jej opuścić przez cały dzień. Partyzanci i konie trwali w pogotowiu do wieczora. Wtedy dowódca pozwalał swoim ludziom zdjąć buty i zasnąć na kilka godzin, przeważnie na słomie. O północy wyruszali i nad ranem docierali do innej wsi, w której się znów zatrzymywali. Bardzo dokuczał im brak snu. Nocne przemieszczanie się oddziału było bezpieczne, ponieważ Niemcy nie wypuszczali się na akcję nocą. Dzięki temu oddział był ruchliwy, nieuchwytny, nie wiadomo było, gdzie go się spodziewać i jaką realną siłą on dysponuje. Kilkakrotnie partyzanci przeprawiali się przez Pilicę, krążyli wokół Opoczna, Białaczowa, Drzewicy. Za każdym razem Dolina zmieniał drogę, Niemcy nie orientowali się też w liczebności oddziału. Grudzień 1944 roku – tak jak wszystkie wojenne zimy – był mroźny (około -30 stopni) i śnieżny. „Dolina” starał się zapewnić swoim ludziom bezpieczeństwo i zaopatrzenie, nie krzywdząc przy tym chłopów, a nawet „dobrych Niemców”. Za jedzenie swoich ludzi i koni płacił oraz dawał zaświadczenie o rekwizycji. Często chłopci nie chcieli pieniędzy, chociaż to były tereny bardzo ubogie. Mimo że partyzanci „Doliny” przeważnie pochodzili z Kresów i różnili się nawet mową, byli na tym terenie przyjmowani gościnnie, serdecznie, chociaż Opoczyńskie było ubogie, wyeksploatowane przez kontyngenty ściągane przez Niemców oraz przez pobyt warszawiaków i innych uciekinierów. „Dolina” i jego zastępca „Dąbrowa” nie żałowali siebie, też spali na słomie. Nie ryzykowali niepotrzebnie, Dolina był dla swoich partyzantów wymagający w sprawach zasadniczych, pobłażliwy w błahych.

Sam „Dolina” w książce „Partyzanci trzech puszczy” opowiada o losach swoich i swojego oddziału. Wspomina, jak jego oddział składający się z 200 ludzi znalazł się w lasach opoczyńsko-kieleckich. Jego ludzie byli wykończeni fizycznie, głodni, w łachmanach, spotkali się jednak z wielką gościnnością wsi (które miały przecież innych gości, przede wszystkim warszawiaków). Pamięta również o zaproszeniu na wigilię do Kraśnicy do pani Bąkowskiej, które nie mogło być wykorzystane, pamięta jej dzieci, Ewę i Stefana.

Bieleński w swojej drugiej, a chronologicznie pierwszej, książce również wspomina wigilię 1944 roku: „Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. W wieczór wigilijny maszerowaliśmy ze śpiewem. Co nas napadło – nie wiadomo. Ogarnął nas nastrój dotychczas nieznan. Coś nas ponosiło, rozpierało. Przecinając szosę, zobaczyliśmy światła samochodowe zbliżające się z prawej strony. ‘Panie poruczniku, robimy?’ – ‘Dzisiaj im darujemy, niech ich szlag trafi.’ Pewnie i trafił – trzy godnie później.

Wigilię spędziliśmy bardzo przyjemnie koło Krasnicy we wsi Libiszów. Zorganizowali ją nam nauczyciele tej miejscowości. Śpiewaliśmy kolędy, pieśni partyzanckie i wojskowe, deklamowaliśmy wiersze. Przy tej okazji wylazł romantyk z „Doliny” Wydeklamował z uczuciem wiersz Or-Ota „Samosierra”. Nigdy bym „Doliny” trzeźwego, zawsze opanowanego, umiającego kryć pod maską surowej twarzy swoje uczucia, nie podejrzewał o takie „głupstwa” jak romantyzm. A jednak. Widać w każdym Polaku siedzi po trosze kawałek rycerza spod Kircholmu i właśnie Samosierry.” Wiadomo też, jak w tym czasie, a nawet może w dniu Wigilii wyglądali ułani „Doliny”, ponieważ w obu książkach Bieleński zamieścił fotografię ostatniego polskiego oddziału kawalerii wykonaną w grudniu 1944 roku w Opoczyńskim, prawdopodobnie w Libiszowie, nawet jest ona na okładce jednej z nich. Fotografia przedstawia grupę 15 uzbrojonych Dominiaków, którzy byli u nas na wigilii w wojskowych płaszczach i czapkach z orzełkami. Mundury, płaszcze i nakrycia głowy są niejednolite, np. rogatywki, furazerki, berety, czapki. Wyglądają jednak jak prawdziwe wojsko. To niezwykle, że w takiej małej grupce znalazło się trzech piszących: Józef Bylewski „Grom”, Marian Podgóreczny „Żbik” i Ryszard Bieleński.

W momencie, gdy piszę te słowa (styczeń 2009), wydaje mi się przekazanie pamięci i opinii o „Dolinie” za bardzo ważne, ponieważ na marginesie dyskusji na temat wchodzącego właśnie w Stanach na ekrany ze świetną podobno kreacją Dawida Craiga mówi się trochę o „Dolinie” w czasie, gdy był „Góra” i dowódcą oddziału partyzanckiego na Nowogródczyźnie. Film obrazuje losy Tewje Bielskiego i jego braci, dowódcy żydowskiego oddziału partyzantów w puszczy nalibockiej. W 1943 roku oddział ten współpracował z partyzantką sowiecką, która w tym czasie dążyła do likwidacji partyzantki polskiej. Rosjanie zastosowali ten sam scenariusz zdradzieckiego zaproszenia dowódców do sztabu co wobec Wilka-Krzyżanowskiego, przywódcy operacji „Ostra Brama”. „Góra przewidział podstęp i wysłał swego zastępcę, który został pojmany i zamordowany. Oddział „Góry” znalazł się w niezwykle trudnej sytuacji między dwoma wrogami i w tych okolicznościach zawarł rozejm z Niemcami, był sądzony przez majora Jana Piwnika „Ponurego”, miał być ukarany. Wówczas Pilch zmienił pseudonim i udał się z oddziałem na południowy zachód pod Warszawę. Są pogłoski, chyba fałszywe, że musieli go pilotować Niemcy. Przecież „Dolina” w Puszczy Kampinoskiej, a następnie Pilickiej i Świętokrzyskiej walczył dzielnie z Niemcami. W dyskusji o „Górze” zabrali głos dziennikarze „Gazety Wyborczej”, którzy na podstawie autopsji, wywiadów napisali książkę „Odwet” o partyzantach Bielskiego i przy okazji o „Górze”. Można pewnie z niej wywnioskować, że z tym „Góra – Dolina” to jakaś niejasna sprawa. Gdyby wiadomo było o jego dalszych losach, opinia o tym dowódcy AK byłaby bardziej sprawiedliwa.

We wspomnieniach „Emisariusz Jur” cichociemnego Jerzego Lerskiego przeczytałam, że koło Radzic, 10 km od nas, było zrzutowisko, gdzie nocami o umówionej porze nadlatywał samolot i zrzucał na spadochronie cichociemnych z Anglii z misją specjalną i często z pieniędzmi, dolarami dla Delegatury Rządu Polskiego, które mieli zaszyte w specjalnych pasach. Przyjmowała ich miejscowa placówka AK, ponieważ cichociemni nie znający warunków okupacyjnych ani topografii okolicy mogli łatwo wpaść w ręce Niemców. Placówka ta przejmowała także owe cenne pasy i przekazywała do Delegatury. Na pewno dobrze wiedzieli o tym, a pewnie także uczestniczyli w tych działaniach Ignacy Sobczyk i częsty nasz gość, ukrywający się u nas, pan Władysław

Głobiński, którego za Mamą nazywałam Głobińskim. Część z tych pieniędzy przekazywana do Delegatury w Warszawie była potem wypłacana rodzinom aresztowanych lub zamordowanych nauczycieli. Roznosiła je po całym powiecie Mama, a otrzymywała je m.in. od pana Sadowskiego, nauczyciela z Końskich. Dowiedziałam się o tym z książki Henryki Sasal-Sadowskiej „W poszumie lasów koneckich. Tajne nauczanie. Walka i martyrologia nauczycieli w powiecie koneckim w okresie okupacji 1939 -1945”, która wspomina, że mąż jej często jeździł do stolicy okręgu w Radomiu i przywoził stamtąd instrukcje oraz pieniądze z Departamentu Kultury i Oświaty Delegatury Rządu Londyńskiego. Nie tylko dla Końskich, ale i dla Opoczna. „Przewodniczącą Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury w Opocznie była kierowniczka Szkoły Powszechnej w Libiszowie, Franciszka Lewandowska-Chałubińska, której mój mąż przekazywał otrzymane w Radomiu materiały” (s.35). Jednej rodzinie przydzielano 200 zł, z czego wynika, że Mama, otrzymując 8 tysięcy, wspomagała nimi 40 rodzin, do których dochodziła na piechotę.

Sasal-Sadowska wiarygodnie przedstawia wydarzenia i sytuację w powiecie koneckim, gdzie atmosfera i sytuacja były podobne do tej w Opoczyńskim. Oba powiaty były określane przez Niemców jako Banditenkreis, oba miały duże kompleksy leśne. Autorka, podobnie jak jej mąż, była świadkiem i czynną uczestniczką konspiracyjnej TON (Tajnej Organizacji Nauczycielskiej), toteż jej świadectwo jest wiarygodnym uzupełnieniem relacji Mamy. Wspomina ona także naloty, bombardowanie, zniszczenia i śmierć, panikę i wędrowkę ludzi, psychozę lęku w czasie i po nalotach Luftwaffe w dniach 3 i 4 września 1939. W obu powiatach bardzo szybko nadzór nad oświatą przejęły niemieckie władze okupacyjne reprezentowane przez Urząd do Spraw Szkolnych w Starostwie – Schulamt na czele z inspektorem Schulratem. Tak jak w całej Generalnej Guberni nakazano zamknięcie bibliotek, odesłanie do urzędu książek i map, potem palono książki. Nie było podręczników, miało je zastąpić czasopismo „Ster”, które zresztą w 1943 roku przestało wychodzić. Nie wypłacano nauczycielom żadnego wynagrodzenia za ich pracę.

Ilość ludzi zaangażowanych w tajne nauczanie i pomoc więźniom była ogromna. Działała też służba sanitarna i apteki. Wielką rolę w tym czasie odegrały leśniczówki i ich gospodarze, leśnicy i gajowi. Dzięki nim mógł tak długo działać na tym terenie Hubal, a potem leśni żołnierze - partyzanci. A jednak na tym terenie represje wroga były szczególnie nasilone. W odwecie za pomoc partyzantom miały miejsce masowe aresztowania, egzekucje, wysiedlenia i pacyfikacje. Delegat emigracyjnego rządu w sprawozdaniu za rok 1942 zanotował: „Dystrykt radomski jest najbardziej ze wszystkich okiełznany i przygnieciony terorem. Inteligencja została bardzo przetrzebiona. Zamordowano prawie 113 tysięcy, aresztowano 83 tysiące, wywieziono do obozów koncentracyjnych 70 tysięcy, na roboty do Niemiec wywieziono 215 tysięcy. Straty ludności żydowskiej wyniosły prawie 380 tysięcy, a więc łącznie 860.599 osób, czyli 1/3 całej ludności, do 1943 roku.” (cytuje za Sasal – Sadowską)

W Opoczyńsko-Piotrkowskim była także zaplanowana akcja „Burza”, czyli walka nie tylko z Niemcami, ale także wystąpienie wobec zbliżających się wojsk radzieckich w roli gospodarza terenu. W czerwcu 1944 roku władze hitlerowskie przystąpiły do budowania umocnień na linii Wisły i Pilicy. Obwód Opoczno został wybrany na teren przyszłych walk, bo był otoczony lasami przysuskimi i białaczowskimi, Puszcza Pilicką i lasami radomsko-kieleckimi.

Zapamiętałam nazwisko, a może również pseudonim „Stary” Józefa Wyrwy. Często je słyszałam, a być może Wyrwę widziałam i to nie jeden raz. Józef Wyrwa, były nauczyciel z Libiszowa, a potem Lipy w powiecie koneckim, przyłączył się do Hubala, a po rozbiciu tego oddziału stworzył własny „Las” podległy Narodowym Siłom Zbrojnym, a następnie AK. W oddziale tym znalazł się także jego syn Tadeusz – „Orlik”. (Po wojnie Wyrwa uciekł przez zieloną granicę i w Niemczech, w Jagehurt, zorganizował polską szkołę, którą skończył także

syn. Tadeusz „Orlik” aresztowany w 1945 roku i trzymany w więzieniu w Końskich, a następnie w Łodzi. zdołał uciec i przedostał się przez zieloną granicę na Zachód. Studiował w Niemczech, Hiszpanii i Anglii prawo i politologię, napisał szereg książek, uzyskał tytuł profesora i doktorat honoris causa UŁ. Po 1989 roku ukazało się kilka jego książek w języku polskim: „Posłannictwo czasu historii i czasu zakłamania”, „Pokoleniowe rozstaje dróg” i „Krytyczne eseje z historii Polski XX wieku”.)

Książki, na które się powołuję, otrzymałam lub zdobyłam z trudem już po napisaniu i rozesłaniu pierwszej wersji „Wspomnień Franciszki Chałubińskiej”. Należy do nich również książka o Helenie Spoczyńskiej Tadeusza Nowackiego. Dr Helena Spoczyńska, organizatorka leśnej tajnej szkoły w Lipinach, którą Mama odwiedzała i wspomagała trochę przynoszonymi pieniędzmi od Delegatury, a przede wszystkim podziwiała, istotnie była niezwykłą osobą. Ukończyła filozofię i filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim, interesowało ją krajoznawstwo, harcerstwo oraz metodyka języka polskiego, a szczególnie nowoczesne metody nauczania. Była nie tylko nauczycielką, ale także działaczką oświatową. Przed wojną uczestniczyła w międzynarodowych zjazdach nauczycielskich. Jej szkoła w rodzinnej wsi była nie tylko świetnie zorganizowana, ale także doskonale zakonspirowana. Odbływały się tutaj nawet prawdziwe egzaminy maturalne. Protokoły i świadectwa ukrywano w posywie dachu. Lipiny, ukryte wśród lasów, były położone blisko Studzianny i Radzic, a więc terenów, gdzie wcześniej działał Hubal, a następnie partyzantka AK i BCh, które wspomagały działania Spoczyńskiej. Działacze na tym terenie Ignacy Sobczyk – „Siwy” i nasz lokator Władysław Głobiński – „Gruda” sami kończyli uniwersytet ludowy Ignacego Solorza w Szycach i marzyli, aby kiedyś na ich terenie powstał także uniwersytet ludowy. Uczniowie byli często partyzantami, pokonywali daleką przeważnie drogę do szkoły, 15-20 km. I uczniowie, i nauczyciele stanowili jakby jedną rodzinę, nie tylko uczyli się, ale sprząтали, rąbali drzewo na opał, jedli wspólnie posiłki, uczyli się *savoir vivre*’u. Wiem, że Helena Spoczyńska kontaktowała się z legendarnym księdzem Zieją, który był powszechnie znany i szanowany w środowiskach inteligenckich, np. to on wygłosił kazanie na pogrzebie cenionej bardzo pisarki Marii Dąbrowskiej. Jego matka do końca życia nosiła strój opoczyński i tak się pokazywała u boku syna.

Niestety, nie udało się jeszcze dotrzeć do trzytomowej książki Mariana Podgórecznego, jednego z „doliniaków” traktującej o losach tego oddziału.

Zastanawiałam się wielokrotnie nad tym, jaka była wówczas wiedza dorosłych na temat losu Żydów i sytuacji w obozach koncentracyjnych. Być może żadna lub niewielka, bo we „Wspomnieniach wojennych” Karoliny Lanckorońskiej, która z racji rozległych koneksji rodzinno-towarzyskich, pracy w RGO, wymagającej ciągłych podróży (9-godzinne oczekiwanie na przesiadki w Koluszkach) po całej Guberni, i konspiracji (była podkomendną Tadeusza Bora-Komorowskiego), znajomości języków, które pozwalały jej szerzej korzystać z nasłuchu radiowego, też nie wiedziała nic o tych strasznych wydarzeniach. Znała jedynie sprawę aresztowań Polaków, wywózek do Niemiec, wysiedleń z Poznańskiego, Pomorza i Wielkopolski. Potem została aresztowana i zesłana do Ravensbruck.

Wiem też, że członkowie BCh, zwłaszcza tych oddziałów, które współpracowały z AK, a właściwie we wrześniu 1943 roku scalone z AK, byli często aresztowani po roku 1945. Mama ujawniła się dość późno, zgłosiła się do Komisji Likwidacyjnej „dla rejestracji b.c.ł. BCh Okręgu Wojennego Łódź” (nr rej. 103), bo 10 października 1945 roku, czyli już w czasie, kiedy formalna rejestracja została zakończona. Pod zaświadczeniem są trzy podpisy: przewodniczącego Komisji, przedstawiciela Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oraz członka byłego BCh. Nie wiem, na ile orientowała się, jak niebezpieczna była dla Niej sytuacja po wojnie, kiedy to wielu członków AK i BCh zostało aresztowanych, nie mówiło się o tym. Może te sprawy zadecydowały również częściowo o podjęciu decyzji

przeprowadzki z Libiszowa, może sądziła, że ta przeprowadzka wystarczy, aby zatrzeć ślad, a potem zmieniła zdanie?

W książce Janusza Gmitruka o działalności Batalionów Chłopskich na Kielecczyźnie znalazłam na liście członków BCh nazwisko i pseudonim mojej Mamy. Wiadomo, że wkrótce powiat opoczyński został przydzielony do obwodu łódzkiego.

21 listopada 1945 roku Mam uzyskała zaświadczenie Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi, że brała udział w Tajnej Organizacji Nauczania na poziomie członka komisji TON w Opocznie przez 2 lata, 8 miesięcy i 15 dni (od 1 maja 1942 do 17 stycznia 1945, w tym jeden rok, 5 miesięcy i 6 dni jako Przewodnicząca Powiatowej Komisji TON-u (od 14 sierpnia 1943 do 17 stycznia 1945 r.) Zaświadczenie to wydano do użytku Komisji Weryfikacyjnej. W okresie odwilży, po październiku 1956 roku, w styczniu 1957 Mama została powołana do składu Powiatowej Komisji Rehabilitacyjnej w Kutnie. Było to chyba już dla niej za późno, aby zlikwidować poczucie krzywdy za to, co przeżyła po wojnie, mimo że więzienie ją ominęło.

Chyba w stanie wojennym pan Głobiński odezwał się do mnie z Głowna i przysłał mi pieniądze w wysokości niecałej mojej miesięcznej pensji, twierdząc, że tyle był Mamie winien. Ucieszyłam się z nich, ale po namyśle odesłałam Mu je, wyczuwając, że jest Mu nielekkko. Bardzo żałuję, że zajęta rodziną i pracą, nie podtrzymałam z Nim kontaktu. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, jakie to ważne.

Do wspomnień dołączam zdjęcia mojej Matki znanej pod imieniem Freda. Są to zdjęcia prywatne, to fotografie robione w momentach wytchnienia, kiedy szczególnie odczuwało się zwyczajną radość życia. Zdjęcia dokumentują przyjaźń z Janiną Granat, która pomagała mi wychować i pozwalała na konspiracyjne oddalenie się Mamy od domu, z Martą Wójcik z Trzebiny, Stefą Balonową z Wygnanowa. Były to przecież młode kobiety, które – ubrane w stroje sprzed wojny - umiały czerpać przyjemność z rozmów towarzyskich, spacerów, wycieczek po najbliższej okolicy. Te uwiecznione na fotografiach chwile ukazują nieliczne, rzadkie chwile wytchnienia i powrotu do normalności. Nie robiło się wtedy zdjęć momentów strasznych czy trudnych, nie miałyśmy aparatu fotograficznego.

Jeszcze raz chciałam podkreślić niezłomność charakteru, dzielność i poświęcenie nie tylko Mamy, ale mojej „Cioci” Janiny Granat (nauczycielki po Seminarium Nauczycielskim w Mariówce koło Przysuchy), delikatnej, słabej fizycznie, chorowitej osoby która zajmowała się również tajnym nauczaniem i moim wychowaniem, jak też Zosi Kosowskiej, która mając 17 do 21 lat prowadziła dom. Dzięki Nim także miałam normalne, niemal szczęśliwe dzieciństwo.

Oboje Rodzice, chociaż wyszli ze wsi, zasilili szeregi inteligencji dawnego typu. Sprawilo to nie tylko wykształcenie i uprawiany zawód, ale sposób świadomego myślenia o narodzie i społeczeństwie i o swoich wobec nich obowiązkach. Dlatego obaj okupanci przede wszystkim chcieli tę inteligencję zniszczyć. Po 1945w sposób prawie pokojowy staliśmy się innym społeczeństwem, zmieniły się granice i kultura

Po wojnie – tak jak inne dzieci i młodzież - chciałam zapomnieć o wojnie, nie mówiło się o niej (wspominałam sam Libiszów, gdzie mimo wszystko spędziłam szczęśliwe dzieciństwo) i później także bardzo rzadko o niej mówiłam. A jednak moja starsza córka Kasia, pewnie również pod wpływem filmów wojennych i lektur, miała ciągle męczące sny o wojnie. Na podstawie wyników badań drugiego pokolenia dzieci Holocaustu teraz już wiem, że występuje często takie zjawisko, iż matka może przekazać dziecku to, co zostało zepchnięte do podświadomości i w pozorną niepamięć.

Po śmierci Mamy Ojciec otrzymał kilka listów kondolencyjnych, między innymi od Cioci Mery ze Stanów, od księdza Jana Malinowskiego i od nieznanej mi Mamy koleżanki szkolnej ze Szczecina. Ta ostatnia pisze:

Kochany Panie Józefie!

Jaki okropny cios. Niech Pana Bóg pocieszy! Sama nie wiem, co mam pisać. Pan nie wie, czym dla mnie była Freda – taka dobra, uczciwa, szlachetna, tak zawsze bardzo Ją kochałam. Kiedy była u mnie w czerwcu, przy odjeździe bardzo płakała i ja także, ale nie przyszło mi na myśl, że widzą Ją ostatni raz. Życie tak ludzi dzieli, byliśmy od siebie tak daleko, a ja bardzo często o niej myślałam. A zawsze kiedy byłam razem z nią, czułam się młoda, przypominało mi się moje dzieciństwo. Tyle dobrego od niej zaznałam, tak bardzo mi szkoda, że Jej już nie zobaczę. Tak mi smutno.

Kochany Panie! Właściwie to nie mam Fredy żadnej fotografii, wojna mi wszystko zniszczyła. Czy mogłabym Pana prosić, żeby Pan mi przysłał jej parę zdjęć? Miałam jesienią przyjechać do Państwa, umówiliśmy się, że pojedziemy do Gostynina obejrzeć nasze stare kątę. Mój Boże! Teraz już na wszystko za późno. Jak będę u siostry we Włocławku, wpadnę do Zychlina na parę godzin, żeby choć zobaczyć Jej grób. Tak mi smutno, tak mi ciężko. Będę się modliła o spokój Jej duszy i o pociechę dla Pana. Lucyna Murawska

Taka też moja Matka pozostała w mojej pamięci: prawa, mądra, odpowiedzialna, bardzo odważna, towarzyska, otwarta na ludzi, szukająca ich dobrych stron, ciekawa świata, bardzo wrażliwa, uczuciowa.

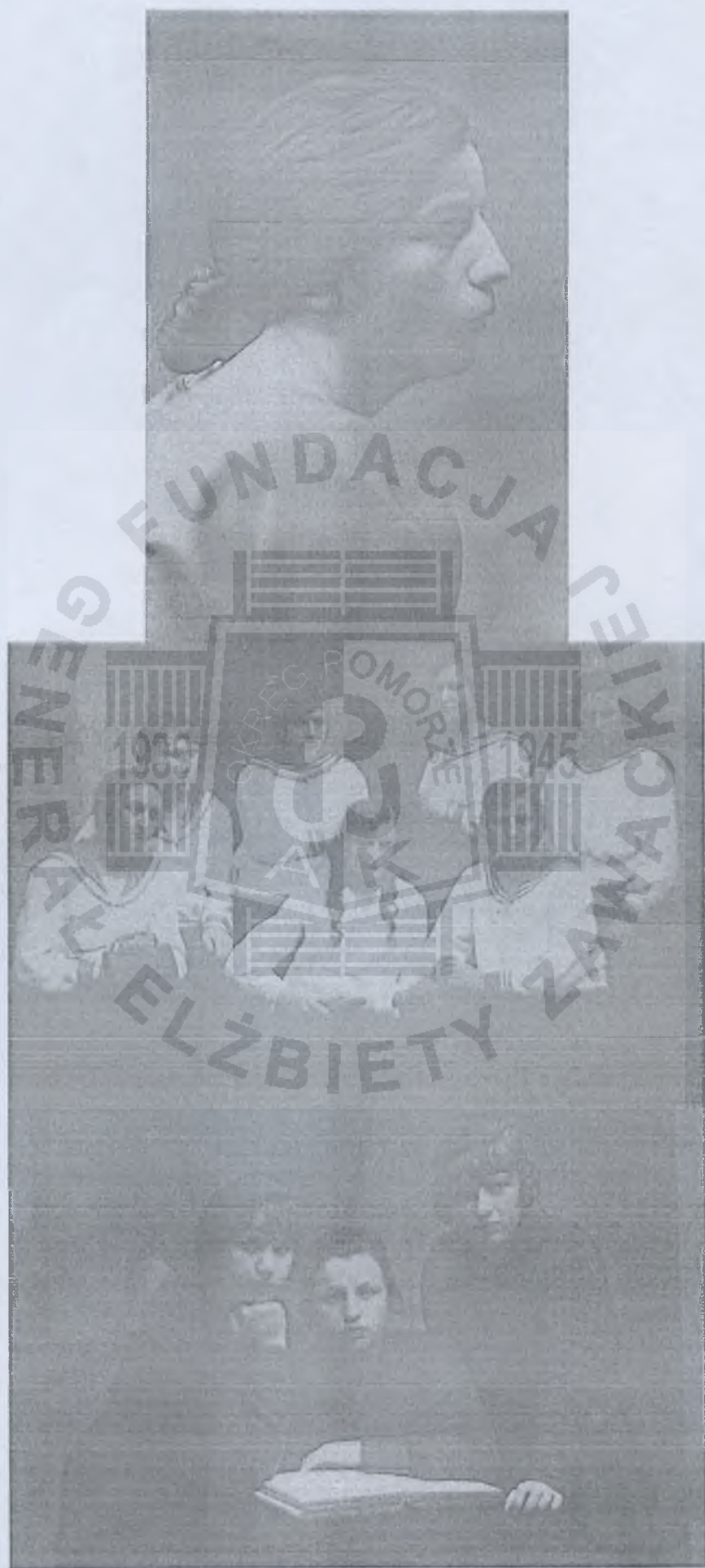
Przy końcu życia Mama powiedziała mi, że zawsze czuła się chora i słaba. Ale nigdy się nie skarżyła, nie bała się operacji.

Na cmentarzu w Zychlinie (za kaplicą i trochę dalej na lewo) jest skromny grób z piaskowca z napisem:

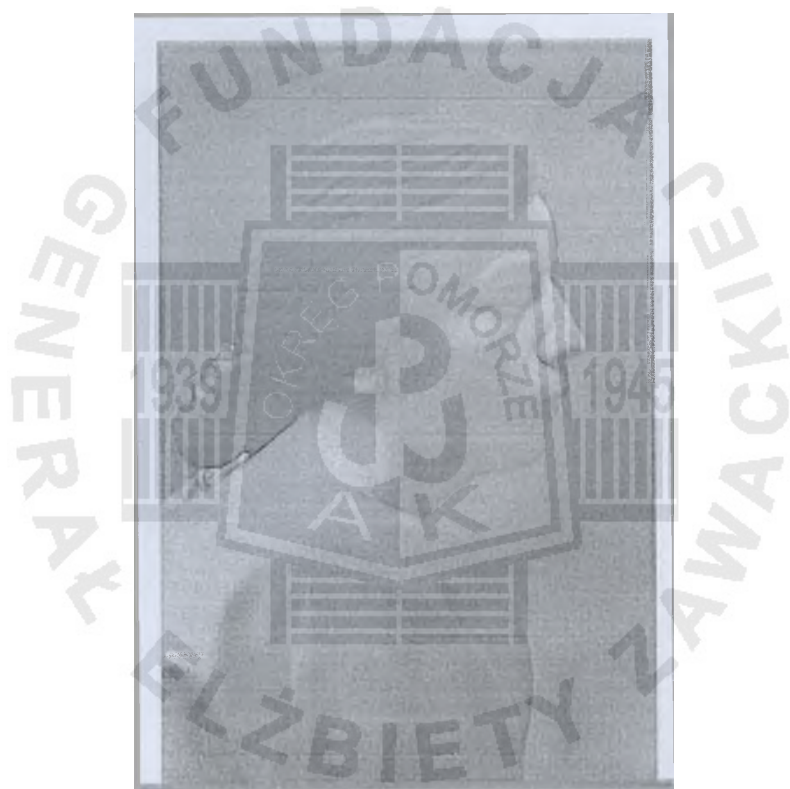
Ś.P.
JÓZEF CHAŁUBIŃSKI
1903 - 1970
nauczyciel
uczestnik walk w Afryce i Włoszech
w latach 1939 -1945
FRANCISZKA CHAŁUBIŃSKA
1906 - 1969
nauczycielka
członek AK-BCh
organizator tajnego nauczania
NON OMNIS MORIAR

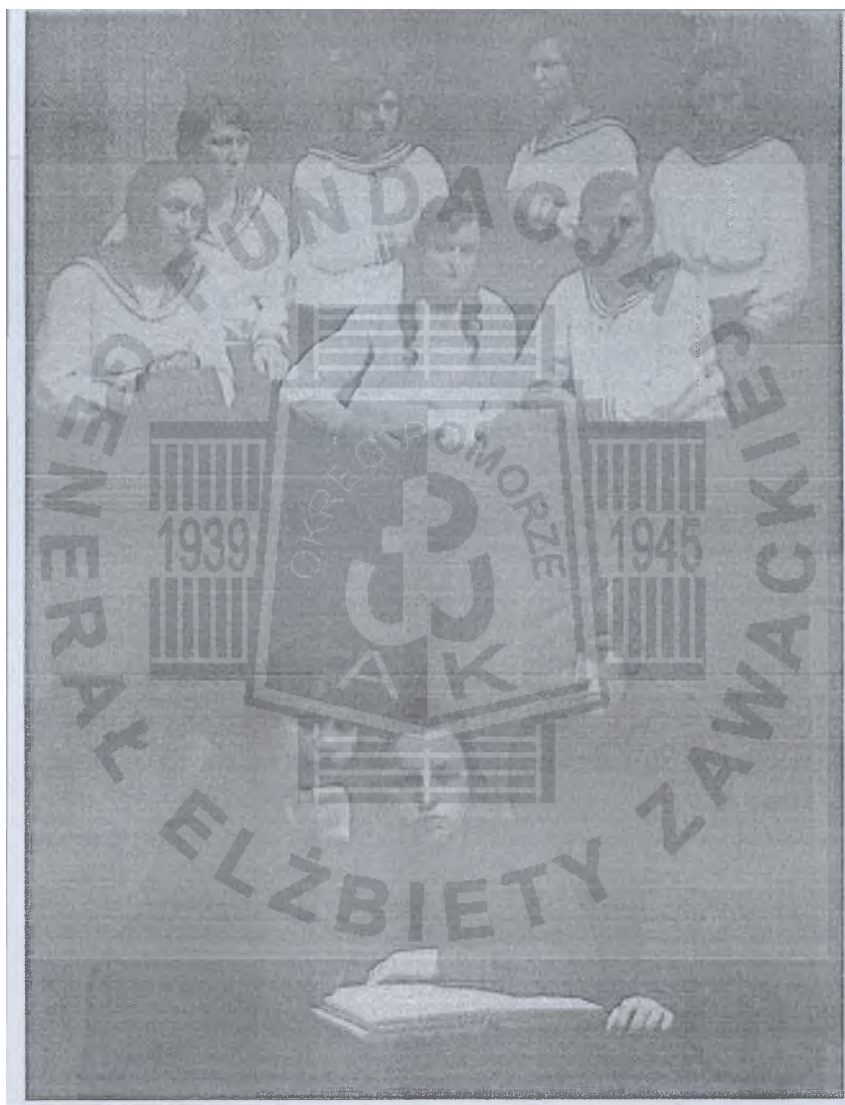
Korzystałam z następujących źródeł:

- Ryszard Bielański, „Góra’ - ,Dolina’ –Adolf Pilch”, Warszawa 2008
Ryszard Bielański, „Prawie zyciorys. 1939 -1956 ”, Warszawa 2006
Tadeusz Nowacki, „Życie pracowite Heleny Spoczyńskiej”, Warszawa 2000
Adolf Pilch, „Partyzanci trzech puszczy”, Warszawa 1992
H.Sasal-Sadowska, „W poszumie lasów. Tajne nauczanie w powiecie koneckim w okresie okupacji”, Kraków 1983
Czesław Wycech



Franciszka Chwałowska (późniejsza Franciszka-Fred Chwałowska) jako uczestniczka Powstania Warszawskiego (fot. 1925, im. Narayzy Zmichowskiej w Gostyninie)







Freda (Franuszką Stewardowska) jako malowczycielka
w powiecie opoczyńskim no. wycieczce w Szozawnicy
(około 1930 r.)





Radom, den 10. Februar 1943

Ausweis Nr. 68551

Die durch nebenstehendes Lichtbild
Kenntlich gemachte

Chalubinska

Franciszka

geb.: 18.5.1906 in Smolenta

Wohnung: Libiszow.

als Lehrerin im Distrikt
ist
Radom

beschäftigt.

Ausstellende Dienststelle:

Generalgouvernement
Gouverneur des Distrikts Radom

(Siegelabgabe Wissenschaft u. Unterricht)

Bild des Inhabers:



Chalubinska

Handige Unterschrift des Inhabers:

Franciszka Chalubinska

Unterschrift

Kobus

Besondere Vermerke:

GENERALGOUVERNEMENT

PERSONAL AUSWEIS
FÜR
NICHTDEUTSCHE
VERWALTUNGSDIENSTANGEHÖRIGE

Dieser Ausweis ist beim Ausscheiden des Inhabers aus der Verwaltung des Generalgouvernements sofort der ausstellenden Behörde zurückzugeben.

Stdr. 8827-42.

Gültig bis: 10. Februar 1944

Verlängert bis: 10. Februar 1945

Der Kreisrat

Warszawa, dn. 18 września 1945 r.

ZASWIADCZENIE

Niniejszym stwierdzamy, że ob.
pseudonim

Chaturbińska

Franciszka

Teresa

urodz.

1906.

rozkazem Komendy Głównej Batalionów Chłopskich Nr. 5/Pers. z dn. 30 maja 1944 r.
został awansowany do stopnia

porucznika

B. Ch.

Pełnomocnik Ruchu Ludowego do spraw B. Ch.

Kalsbauer

b. Szef Sztabu K. G. B. Ch.

b. Komendant Główny B. Ch.

1131/1. Dzieńkowski, Warszawa



Likwidacyjna dla rejestracji
b. czł. B. Ch.

Łódź, dnia *10 października 1945*

Okręgu Wojennego Łódź.

rej. *103*

L. p. *103*

Zaświadczenia

Ob.

porucznik
stopień

Chaturbińska
nazwisko i imię

Franciszka e. Józef
imię ojca

b. członek B. Ch. rejestrował się

Komisji Likwidacyjnej b. członków B. Ch. dnia *10 października 1945*

Przedst. Min. Bezp. Publ.

Przew. Komisji

Członek b. B. Ch.

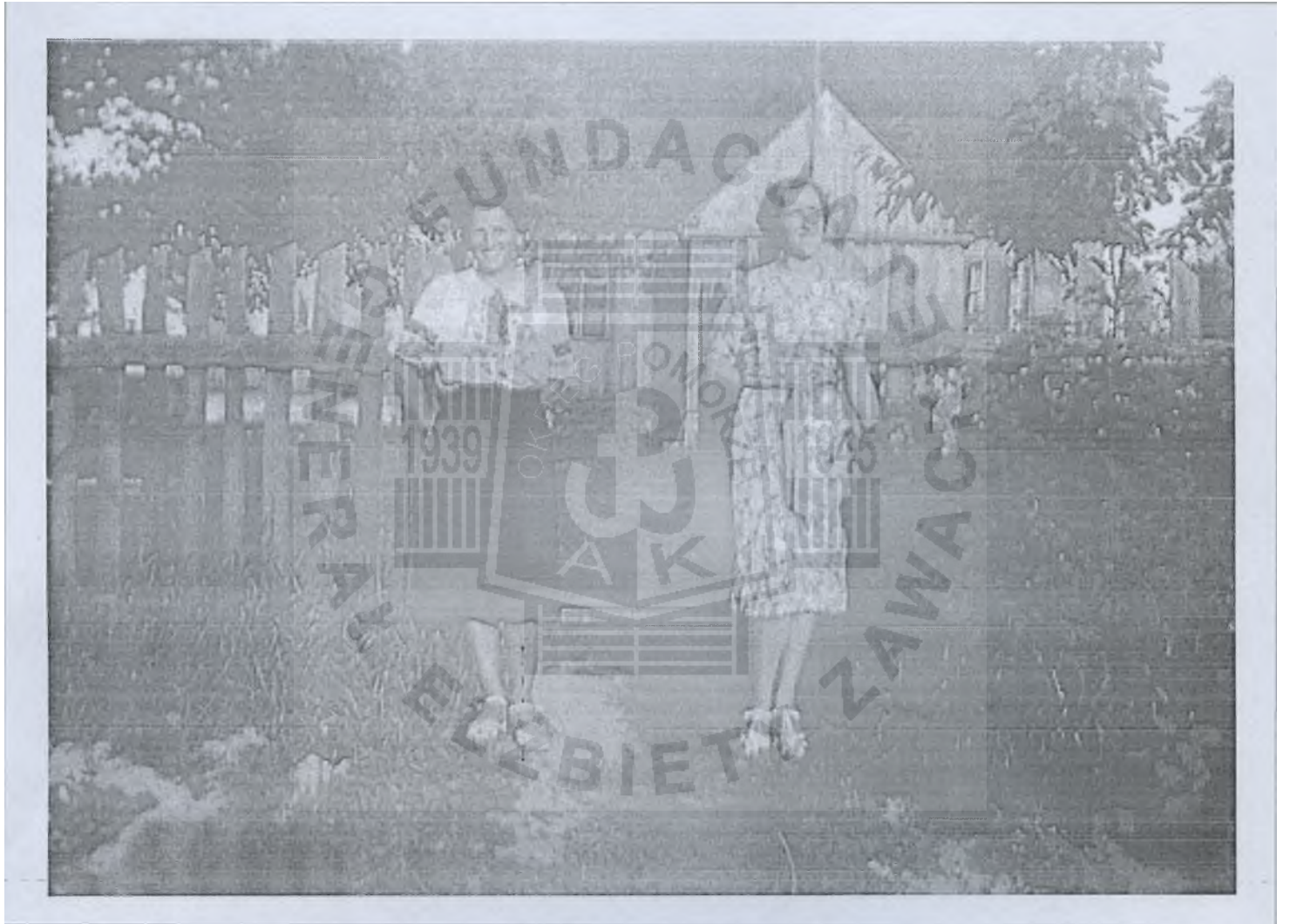
[Signature]

[Signature]

[Signature]



dzi biszów - szkota (z Jariing Granat, nau⁵⁹cyielko,





Chór kordielny w Sibiśzowie



Maul Dziewiczka w okolicach Zamczoku
 Franciszka Chaturbińska, Janina Granot,
 Stefania Balonowa, Maria Wojcik - maul⁶²ycielki
 z Sibiśzowa i Marianna Nowo- i Jozefina oraz p. Serati









Detroit, 1962 r. Z wizyta u brata Józefa i Mary 66wardalski
w Shoebach Tialandermest.







1963 - z wnuczkiem Kasia Franciszka Chałubińska z nauczycielami
szkoły Podst w 2, nr. 1946 (Kierownik Stachura)



Zychnitz: od prawej Józef Chałubiński, Franciszka -
-Frede. Chałubińska, ks. Jan Malinowski z Chicago,
Anna. Chałubińska - Szurozak (córka), 1966 r.









Gen. Chwałubimski porucznik Brygady Karpackiej i II Korpusu
Polskiego pod dowództwem gen. W. Andersa, oficera materiałowego y
Polskiego Korpusu Rozmieszczenia i Transportów w Anglii jako morderca
działania fizycznego i przysposobienia wojskowego w Instytucie Ogólnokształcącym
Zuchłimie - 1954 (rysunek ucznia)



Samobento, rok 1937 Rodzina chłopa miłostkich (5 braci i 4 córki; Foto z drugiej strony



Yakub Dewandowski z synem Zygmuntem w swojej 'Jack's Co' 74
Detroit 1938





II MATERIAKY UZMPEENIA JACE RELACJE.

- Wygig 2 okt Museum Regionalnego w Opocznie
oprac. przez Wit. Koperkiewiczze, Opoczno 1986, mps (ksero),
K. 1, s. 1-2.



MUZEUM REGIONALNE W OPOCZNI

Lewandowska-Chałubińska Franciszka		Grupa
Nazwisko i imię -		Okres
Data i miejsce urodzenia	Data i miejsce zgonu	
Imiona rodziców	Nazwisko rodowe matki	
Pochodzenie klasowe	nauczycielka Zawód	
Stale miejsce zamieszkania	Adres:	
<p>Dane o dokumentacji fotograficznej i inne:</p> <p>Henryka-Sasal-Sadowska" W poszumie lasów koneckich tajne nauczanie, walka, martyrologia nauczycieli i młodzieży w powiecie koneckim w okresie okupacji 1939-1945r. wyd. I, Wydawnictwo Literackie Kraków-Wrocław 1983r.</p>		

11/2

41

Notatki biograficzne:

Była kierownikiem Szkoły Powszechnej w Libiszowie przed wojną i w czasie okupacji hitlerowskiej. Brała udział w konspiracyjnej oświacie. M.in. została przewodniczącą Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury w Opocznie.

W grudniu 1940r. został stworzony w Warszawie Departament Oświaty i Kultury pełniący funkcję tajnego ministerstwa w ramach Delegatury Rządu Londyńskiego na Kraj z Czesławem Wycechem jako dyrektorem, który w ścisłym porozumieniu z centralną komórką Tajnej Organizacji Nauczycielskiej w Warszawie organizował pracę Departamentu. Od połowy 1941r. Departament Oświaty i Kultury w oparciu o Tajną Organizację Nauczycielską organizował terenowe komórki pod nazwą Okręgowych Komisji Oświaty i Kultury.

Powiatowa Komisja Oświaty i Kultury w Opocznie powstała na początku 1942r. Jej przewodniczącą została kierowniczka Szkoły Powszechnej w Libiszowie, Franciszka Lewandowska Chałubińska.

Komisja Oświaty i Kultury na okręg radomsko-kielecki miała miejsce urzędowania w Radomiu. Jej kierownikiem został Stanisław Podrygała. Sekretarzem biura został Wacław Gawski, który organizował Powiatowe i Gminne Komisje Oświaty i Kultury oraz łączność i sprawozdawczość. Nieraz przyjeżdżał do Końskich i Opoczna, przekazując instrukcje i dotacje Departamentu Oświaty i Kultury. Dla bezpieczeństwa na odcinku łączności zmieniano ludzi. Do Radomia jeździł również nauczyciel Józef Sadowski z Końskich, który przywoził instrukcje i pieniądze również i dla Opoczna, które przekazywał Franciszce Lewandowski Chałubińskiej z Libiszowa.

Od połowy 1942r. stała pomoc dla nauczycieli stanowiły dotacje Departamentu Oświaty i Kultury w Warszawie. Pierwsza pomoc z tegoż źródła dotarła do Opoczna w maju 1942r. Była to kwota w wysokości 8000 zł. Z funduszu tego objętym opieką nauczycielom wypłacono po 200 zł. zapomogi.

Szkolnictwo na ziemiach polskich podczas okupacji hitlerowskiej było znakomicie zorganizowane w jednolity system oświatowy, jak nigdzie wówczas w całej okupowanej Europie.

Źródłowe wiadomości:

zakołował

Data

4.04.1986r.

Włodzimierz B. Koperkiewicz

St. sierż. rez. WP Włodzimierz B. Koperkiewicz

696/1500/Op ŁDD Ł-d 5 13. 10. 82 r. 1 000 szt. A-4

IV. Korespondencja
(2009) k.1



T: 2924/WSK

DR

LEWANDOWSKA-CHAKUBIŃSKA

Franciszka

u / Wypisy ze ślubów - 1

D.k. 2001.

2. Lewandowska-Chałubińska żołnierz AK, tajna oświata, pedagog ze Szkoły Podstawowej w Libiszowie, poczta, gmina Opoczno zajmowała się tajną oświatą na terenie ówczesnego powiatu opoczyńskiego. Jej przełożonym był kierownik szkoły tejże a potem d-ca Oddziału NSZ tj. kpt. Józef Wyrwa ps. "Stary".
Z okazji Świąt Bożego Narodzenia w 1944r. w budynku Szkoły Podstawowej w Libiszowie zorganizowała "Wigilię" dla żołnierzy z Oddziału pgr. "Doliny"/Adolfa Pilcha/, którzy szli na pomoc Powstańcom Warszawskim i przyłączyli się potem do 25 pp. AK im. Ziemi Piotrkowsko-Opoczyńskiej. Po wojnie wyjechała na Ziemię Zachodnie. Wszelkie ślady urwały się.

L.dz. 3284 WSK 01
23 X



Kowalik Zofia
99-300Kutno

L. Dz - 3239 WSK



FUNDACJA

Archiwum Pomorskie Archiw Krajowy

ul. W. Garbary 2

87-100 TORUŃ

wpiętno dnia 8.10
Ldz 3336 LSH 01

LEWANDOWSKA-CHAKUJ. I ŃSKA

Franciszka

